Dziś w numerze: Notatki ze Zjazdu Pisarzy w Moskwie • Duet małżeński • Komu grozi Akon? • Wieczny kłopot z tradycją • Sport przez małe „s" • List z Krakowa • Rozkaz: rzucić bombę! • Recenzje • Felietony

odgłosy

Nr 24 (438)
18. VI. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

POLICHNO PO 25 LATACH

Wiosną roku 1942 Europa zaroiła się od Quislingów. Zwycięskie dywizje niemieckie odnajdywały wciąż nowych sprzymierzeńców: legiony faszystowskie w krajach podbitych – tak jak faszystowscy politycy głoszący braterstwo idei i broni z hitleryzmem – wspierały **„Nowy Porządek"**. Jemu służył przemysł całego bez mała kontynentu. Policje wszystkich krajów – i wszechwładne gestapo – czuwały nad tym mającym przetrwać następne stulecia **„Nowym Porządkiem Zwycięzców"**. Jego wyrazem były setki obozów koncentracyjnych, miejsc szybkiej, męczeńskiej śmierci tych, którzy się nie ugięli.

Polska się nie ugięła: nie zrodziła Quislinga, nie wsparła faszystowskimi najemnikami dywizji hitlerowskich.

Od 15 maja 1942 r. w lasach pod Piotrkowem działał oddział GL pod dowództwem „Małego Franka". Gdy myślimy o proporcji sił – o olbrzymiej najnowocześniejszej i jakże sprawnej machinie wojennej zwycięskiej Rzeszy – i o uciętym karabinie, 6 pistoletach i 12 filipinkach, z jakimi ci chłopcy wyruszyli w ten bój, ich czyn, konkretny i okupiony krwią i śmiercią – nabiera cech symbolicznych, urasta do miary herosów znanych z antycznych legend.

Ale nie była to antyczna legenda, a nowy dzień polskiej rzeczywistości: **zwykły dzień walki o Wyzwolenie Narodowe i Społeczne.** Takich dni – aż po chwilę pełnej klęski hitleryzmu miało nastąpić wiele.

W miesiąc później, 20 czerwca, pod wsią Polichno, ta sama grupa GL uzbrojona w zdobyczną już broń stoczyła 8-godzinną bitwę z żandarmerią i oddziałami niemieckiej policji. Gwardziści walczyli bohatersko, trzech z nich poległo. Zadali krwawe straty atakującym Niemcom.

Wieczorem grupa gwardzistów przeszła Pilicę na południowy wschód od Wolborza i stamtąd przedostała się do Warszawy.

Była to pierwsza walka partyzancka na terenie Okręgu Częstochowsko-Piotrkowskiego. Przeciwko oddziałowi GL liczącemu 10 ludzi, słabo uzbrojonemu, okupant zmuszony był użyć sił gestapo, żandarmerii i policji granatowej, a także zmotoryzowanej jednostki Schupo.

Dziś niedaleko od wsi Polichno, gdzie ćwierć wieku temu w mazowiecki piasek wsiąkała krew partyzantów – szumią te same co wówczas drzewa. Góruje nad nimi granitowy masyw pomnika. Tu stanie niedługo Muzeum Czynu Partyzanckiego.

Parę dni temu w zieleń wciąż tego samego polskiego lasu wtopiły się tysięczne szeregi mieszkańców pobliskich miejscowości. Tych którzy jeszcze pamiętają lata pogardy i tych dla których są one tylko historią.

Na polanie wśród piotrkowskich lasów stanęła trybuna. „Jesteśmy przekonani – mówił z niej Stefan Jędryszczak – że społeczeństwo Ziemi Łódzkiej z najwyższą czcią zachowa pamięć o ludziach, którzy życie swe oddali za Polskę Ludową w walce z okupantem i pracą swą przyczyni się do wypełnienia do końca ich wspaniałego, wielkiego testamentu".

Czyn bohaterów spod Polichna był niewymierny, tak jak niewymierna jest wiara w sprawiedliwość i potrzeba przeciwstawiania się złu. Nie ilość salw i rezultat strategiczny określa nam dziś wielkość tego porywu. Dziś widzimy w nim najszlachetniejszy siew z którego wzrosła Wolność Naszej Ojczyzny.

KONRAD FREJDLICH

NIE SAMYM CHLEBEM...

Znowu więc Łódź gościła najwybitniejszych poetów tego kraju. Doroczne zjazdy stają się powoli nie tylko tradycją miasta, ale jego rzeczywistą potrzebą; trudno już sobie właściwie wyobrazić Łódź bez ogólnopolskich festiwali poezji. Udział twórców nie był może jeszcze tak imponujący jak na Jesieniach Poznańskich, ale był w każdym razie znaczący. Z tych, co się liczą, zabrakło tylko Mieczysława Jastruna i Wisławy Szymborskiej, nie przyjechał także Różewicz, który, zdaje się, nie lubi festynów. Był on jednakże, może nawet ponad miarę, obecny w referatach i dyskusji. Był nawet centralną postacią dysertacji pana Stanisława Brucza na temat ostatnich dwóch lat w twórczości poetów łódzkich co do pewnego stopnia mogło wyglądać na nietakt. Pozostawmy jednak Muzom i niepamięci tę drażliwą kwestię, gdyż jak powiadał w starożytności Horacy „Malarze i poeci mieli zawsze równy przywilej odważania się na wszystko". Lukian zaś stwierdzał wprost: „Stare to zdanie, że poeci i malarze nie są pociągani do odpowiedzialności."

Pisząc to sprawozdanie nie możemy się uwolnić od jeszcze jednej cytacji. Mowa o rozumnym zdaniu Norwida, które zdobiło proscenium wspaniałej sali obrad: „Jest pewna proporcja utylitarności, która jest warunkiem piękna". Gdybyż to samo hasło rozpiąć jeszcze na mównicy, dyskusja zyskałaby może na urodzie i znaczeniu. Język niektórych wystąpień był mocno abstrakcyjny i przypominał do złudzenia magmę wierszy nowej fali, był to mianowicie język higieniczny, język, którym się trudno zarazić. Wolę, gdy na mównicy poeci przemawiają rubasznie.

Referat wiodący wygłosił profesor Jan Zygmunt Jakubowski. Była to bardzo przyjemna w słuchaniu rozprawka na temat społecznego sensu poezji. Dowiedzieliśmy się z niej sporo rzeczy właściwie znanych, o których jednak nie zawsze chce się pamiętać. Najbardziej interesujący fragment dotyczył problemu tzw. sztuki zaangażowanej. Uspokoiliśmy się. Naczelny redaktor miesięcznika „Poezja" jest, jak to wynikało z jego wystąpienia, dość tolerancyjny. To zresztą odczytać można także z łamów samego czasopisma, którego to tolerancja jest, moim zdaniem, często nawet zbyt daleko posunięta.

Referat wiodący często powoływał się na sądy i opinie innych zaczynając już od Platona. Prof. Jakubowski nauczał, wystąpienie jego miało charakter mocno dydaktyczny. W takim momencie myśli się o wagarach. Ale zestawienie dokonane przez mówcę było w sumie interesujące. Zabrakło tylko przysłowiowej kropki nad „i". Referent nie powiedział wyraźnie za jakimi poglądami sam się opowiada, zostawił nas w rozterce. Może dlatego z referatem nikt nie starał się polemizować, w końcu każdy znalazł w nim dla siebie coś miłego, każda poetyka miała tam swoją apologię.

Bardziej znaczący był referat krytyka, Jerzego Kwiatkowskiego, choć jego temat

Dalszy ciąg na str. 6

ze ŚWIATA

Wyrażana dwa tygodnie temu na tym miejscu obawa co do rozwoju wydarzeń na Bliskim Wschodzie, niestety, okazała się w pełni uzasadnioną. Zamieszczone w bieżącej „Kronice Tygodnia" kalendarium jest ilustracją poszczególnych faz konfliktu, pełnego dramatycznych napięć. Zwalnia ono jednocześnie komentatora od odtwarzania rozwoju sytuacji i pozwala skupić uwagę czytelników na niektórych problemach bliskowschodniej wojny.

Historia konfliktu sięga pierwszych miesięcy po powołaniu do życia Republiki Izraelskiej (15 maja 1948). Niezrealizowanie uchwały Organizacji Narodów Zjednoczonych o podziale mandatowego terytorium Palestyny stało się przyczyną wojny, w rezultacie której granice państwa Izrael zostały znacznie rozszerzone. Rozejmy z 1949 roku położyły wprawdzie kres walkom, ale nigdy nie doprowadziły do trwałego traktatu pokojowego. Formalnie więc stan wojny trwał nadal i na porządku dnia były większe lub mniejsze starcia graniczne.

Przyczyn obecnego kryzysu dopatrywać się jednak trzeba nie tylko w przeciwieństwach izraelsko-arabskich, lecz także wykorzystywaniu państwa Izrael przez siły imperialistyczne, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, do zahamowania procesów umacniania niezawisłości narodowej krajów arabskich i dokonywanych w nich przeobrażeń społecznych. Posłużono się zatem państwem Izrael jako narzędziem polityki imperialistycznej. Przykładem tego może być fakt gwałtownego ataku wojskowego na Syrię już po jednomyślnym przyjęciu przez Radę Bezpieczeństwa rezolucji o zaniechaniu działań. Ten skoncentrowany atak służyć miał obaleniu postępowego rządu w Damaszku.

Jeśli nawet siły imperialistyczne nie liczyły na takie powodzenie akcji, aby w jej wyniku wywołać przewroty w krajach arabskich — to znając przewagę militarną Izraela w pierwszej fazie wojny chciały tą drogą zastraszyć je i osłabić działanie sił postępowych. Zainteresowanie imperialistów Bliskim Wschodem wynika nie tylko z faktu, że tu wydobywa się 70 proc. światowej produkcji ropy, ale i z jego położenia strategicznego. I to jest pierwszy rys charakterystyczny tej narzuconej Arabom wojny.

Drugi — to niezwykle szybkie opowiedzenie się wielkich mocarstw po jednej z walczących stron. Związek Radziecki — rzecz zrozumiała — stanowczo i jednoznacznie opowiedział się po stronie ofiar agresji, podczas gdy Stany Zjednoczone i W. Brytania natychmiast — co także jest zrozumiałe — udzieliły poparcia Izraelowi. (Francja proklamowała pewnego rodzaju neutralność). Tak więc konflikt bliskowschodni z miejsca nabrał aspektów międzynarodowych.

I znowu — tak, jak w przypadku wydarzeń sueskich w 1956 roku — trzeba podkreślić znaczenie konsekwentnej postawy europejskich krajów socjalistycznych. Narada kierownictw partii komunistycznych i robotniczych oraz 7 rządów krajów socjalistycznych w Moskwie w dniu 9 bm., ich wspólne oświadczenie, podkreślające, że jeśli Izrael nie zaprzestanie agresji i nie cofnie wojsk za linię rozejmową, kraje uczestniczące w naradzie dopomogą narodom arabskim w udzieleniu zdecydowanej odprawy agresorowi, a następnie zerwanie z nim stosunków dyplomatycznych — odegrały zasadniczą rolę w ostudzeniu, zamiarów napastników.

Wreszcie trzeba powiedzieć także o szerokim froncie działania dyplomatycznego, które najpierw miało na celu zażegnanie konfliktu, a gdy agresja stała się faktem — jego wygaszenie. Spośród wielu możliwości wybrano przede wszystkim działanie za pośrednictwem Rady Bezpieczeństwa. Fakt, że udało się doprowadzić do jednomyślnej rezolucji o przerwaniu działań, odnotować należy pozytywnie. Niestety, niepodporządkowanie się Izraela przez kilka dni tej decyzji poderwało prestiż Rady.

Jakie są perspektywy zakończenia konfliktu? Na to pytanie niełatwo jest odpowiedzieć. Z powodzi depesz agencyjnych, doniesień, zmieniających się z godziny na godzinę nie można wyłowić elementów tej odpowiedzi. Należy przypuszczać, że otwiera się okres przewlekłych i bardzo trudnych rokowań dyplomatycznych, których podstawą musi być powrót do stanu sprzed 5 czerwca. Ich powodzenie zależy od Izraela, który musi zaniechać aktów wrogości wobec krajów arabskich i poszukać modus vivendi z otaczającym go światem.

Niezależnie od dalszego rozwoju wydarzeń wojna izraelsko-arabska ma już określone następstwa. Przede wszystkim są nimi: olbrzymie, chyba największe w historii nasilenie tendencji antyamerykańskich w krajach arabskich i to zarówno postępowych, jak i rządzonych przez siły reakcyjne oraz ich pełna konsolidacja. Te dwa fakty mogą zasadniczo wpłynąć na polityczne oblicze tego rejonu świata. Konflikt — co przyznają komentatorzy zachodni — wyrządził poważne szkody prestiżowi Stanów Zjednoczonych i — jak pisze „France Presse" — w Waszyngtonie zdają sobie sprawę, iż „trzeba będzie podwoić wysiłki, aby przywrócić normalną sytuację".

Do tematu przyjdzie nam powracać, a tymczasem przenieśmy się do Wietnamu. Konflikt bliskowschodni zepchnął wojnę wietnamską z czołówek gazet światowych, chociaż walki toczą się tam z niesłabnącą siłą. Partyzanci znów wzmogli ataki, a obrona przeciwlotnicza Wietnamu północnego osiąga coraz większe sukcesy. Przed kilku dniami prezydent Ho Chi Minh wystosował do narodu orędzie, w którym komunikuje m. in., że nad terytorium DRW strącono już ponad dwa tysiące samolotów amerykańskich. Dla uzupełnienia obrazu strat dodajmy, że w ciągu sześciu lat południowowietnamskie siły wyzwoleńcze zestrzeliły lub zniszczyły na ziemi ponad 6.400 samolotów, z których oczywiście większość latała pod znakami Stanów Zjednoczonych.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

Kalendarium agresji

Poniedziałek 15 maja: New York Times donosi z Tel Awiwu: Zdaniem tamtejszych obserwatorów Izrael jest już gotów do uderzenia na Syrię.

◇ U Thant oświadcza, że jest poważnie zaniepokojony nadchodzącymi z Bliskiego Wschodu doniesieniami i apeluje do wszystkich zainteresowanych stron o przestrzeganie porozumień o rozejmie.

◇ Władze syryjskie poinformowały przedstawicieli akredytowanych w Damaszku o „imperialistycznych i sjonistycznych planach skierowanych przeciwko Syrii". Dyplomatom oświadczono że groźby dające się słyszeć w Izraelu mają na celu przygotowanie opinii światowej do agresji na Syrię.

◇ Na ulicach Jerozolimy — defilada wojskowa.

◇ Al-Ahram: „Defilada ta jest tylko pretekstem. Rząd Izraela skorzysta z niej, aby skoncentrować swoje oddziały". Bonn: „Izrael jest tak mały, że może to wyglądać na koncentrację".

Wtorek 16 maja: Al-Ahram: „Wojska egipskie wyruszą przeciwko Izraelowi, jeśli tylko terytorium Syrii zostanie zaatakowane".

Środa 17 maja: Rząd ZRA domaga się wycofania błękitnych hełmów z powodu ryzyka wojny".

Czwartek 18 maja: Źródła arabskie donoszą o koncentracji wojsk Izraela na granicy z państwami arabskimi.

Piątek 19 maja: Sekretarz generalny U Thant zaaprobował prośbę Egiptu o wycofanie wojsk ONZ z rejonu Gazy.

◇ Wojska izraelskie ostrzelały samolot ONZ, na którego pokładzie znajdował się dowódca sił ONZ — gen. Rikhye.

Sobota 20 maja: Figaro: „Wszystko toczy się tak, jak gdyby wobec perspektywy wszczęcia akcji przez Izrael przeciw Syrii, Naser a z nim przywódcy innych krajów arabskich, którzy chętnie czy nie, zmuszeni są dowieść swej solidarności, chciał zapobiec wojnie izraelsko-syryjskiej, grożąc natychmiastową interwencją.

Niedziela 21 maja: Izrael skoncentrował na granicy z Egiptem sześć brygad wojskowych.

◇ Izrael ogłosił częściową mobilizację.

◇ Wojska ZRA obsadziły Szarm el Szeik.

◇ Amerykańska VI flota płynie w stronę wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego.

Poniedziałek 22 maja: Premier Indii, Indira Ghandi wyraziła poparcie dla stanowiska krajów arabskich.

◇ Do ZRA przybył sekretarz generalny ONZ U Thant.

Wtorek 23 maja: Źródła egipskie podają, że jest prawdopodobnym, iż w każdej chwili na granicy egipsko-izraelskiej może wybuchnąć konflikt zbrojny. Wynika to wyraźnie z posunięć Izraela. „Powaga sytuacji zaostrza niebezpieczna, podejrzana rola Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników popierających i udzielających pomocy Izraelowi".

Środa 24 maja: Sekretarz ONZ określił sytuację w rejonie Bliskiego Wschodu jako najpoważniejszą od czasu konfliktu sueskiego.

◇ Wojenne okręty brytyjskie na Morzu Śródziemnym otrzymały rozkaz „by były gotowe do stawienia czoła wszelkim ewentualnościom".

Czwartek 25 maja: Papież Paweł VI zwrócił się z apelem do wszystkich mężów stanu na świecie, aby starali się znaleźć pokojowe rozwiązanie kryzysu na Bliskim Wschodzie, który stanowi nowe niebezpieczeństwo dla sprawy pokoju.

Piątek 26 maja: Z Kairu do Moskwy odleciał minister wojny ZRA S. Badran.

◇ U Thant opuścił Kair. Moje rozmowy były bardzo serdeczne — stwierdził sekretarz generalny ONZ. Spotkałem się z gorącym przyjęciem ze strony prezydenta Nasera.

Sobota 27 maja: Przedstawiciel ZRA w ONZ wystąpił z prośbą o zwołanie Rady Bezpieczeństwa celem rozpatrzenia sprawy agresywnej polityki izraelskiej zagrażającej pokojowi i bezpieczeństwu na Bliskim Wschodzie.

Niedziela 28 maja: Izraelskie samoloty transportowe w ciągu trzech kolejnych dni przewoża sprzęt wojenny z Wielkiej Brytanii dostarczony przez rząd Wilsona Izraelowi.

Agresorzy

Poniedziałek 29 maja. Sekretarz Generalny ONZ U Thant oświadczył, iż uzyskał w Kairze zapewnienie że ZRA pierwsza nie rozpocznie działań wojennych.

◇ W Tel Awiwie wzmaga się psychoza wojenna. Prasa eksponuje przyrzeczenie Johnsona udzielenia Izraelowi pomocy wojskowej.

Wtorek 30 maja: Zgromadzenie Narodowe ZRA podjęło jednomyślną decyzję w sprawie przekazania prezydentowi Naserowi pełni władzy.

◇ Wozy pancerne Izraela przekroczyły linię demarkacyjną w rejonie Gazy i zaatakowały grupę pracujących tam więźniaków arabskich.

Środa 31 maja: Król Jordanii Hussein i prezydent ZRA Naser podpisali układ obronny między obu krajami.

Czwartek 1 czerwca: Irak rozpoczął transportowanie jednostek desantowych swej 1 dywizji, które mają się udać do Egiptu. Analogiczne posiłki kierowane są do Syrii.

◇ ZRA proponuje reaktywowanie mieszanej izraelsko-egipskiej komisji rozejmowej oraz izraelsko-egipskiego porozumienia, które w 1956 roku ówczesny premier Izraela Ben Gurion uznał za martwe i pogrzebane.

Piątek 2 czerwca: Izrael odrzucił propozycję Egiptu utworzenia komisji mieszanej.

Sobota 3 czerwca: Nowym ministrem wojny Izraela mianowany został jeden z najbardziej agresywnych i wojowniczych osobników wojskowo-politycznej sceny Izraela — Moshe Dajan.

◇ Irak przyłączył się do układu wojennego podpisanego pomiędzy Jordanią i ZRA.

Niedziela 4 czerwca: Nasza siła uderzeniowa jest ogromna — oświadczył izraelski minister informacji.

Poniedziałek 5 czerwca: Radio Kair podaje, że o godzinie 6 rano, czasu GTN Izrael zaatakował terytorium Egiptu w powietrzu i na lądzie. Bombardowano stolice ZRA, Algieria, Liban, Jemen, Irak, Kuwejt, Sudan, ogłosiły, iż są w stanie wojny z Izraelem.

◇ ZRA wezwała Syrię i Jordanię, aby przyłączyły się do odparcia agresji.

◇ Prezydent Tito: „Agresja Izraela na ZRA — podobnie jak 10 lat temu, dowodzi, że Izrael jest agresorem i narzędziem sił imperialistycznych".

◇ Agencja TASS: „Wskutek awanturniczej polityki rządu jednego kraju — Izraela — który był zachęcany przez tajne i jawne poczynania określonych kół imperialistycznych na Bliskim Wschodzie wybuchł konflikt... Rząd ZSRR domaga się, by rząd izraelski jako pierwszy, pilny krok w kierunku zlikwidowania konfliktu zbrojnego niezwłocznie i bezwarunkowo zaprzestał działań wojennych przeciwko ZRA, Syrii, Jordanii i innym krajom arabskim oraz wycofał się na linie rozejmową".

Wtorek 6 czerwca: ZRA, Syria, Algieria i Jemen zrywają stosunki dyplomatyczne z USA.

◇ Generał Cao Ky — marionetkowy szef reżimu sajgońskiego: „Jestem za Izraelem sądzę że siły Izraela zrobiły świetną robotę"

Środa 7 czerwca: Rząd ZRA podjął decyzję o zamknięciu Kanału Sueskiego. Rada Bezpieczeństwa uchwaliła rezolucję w sprawie natychmiastowego przerwania ognia na Bliskim Wschodzie. Rezolucja Rady stwierdza, że przerwanie walk ma być pierwszym krokiem w kierunku uregulowania konfliktu. Delegat ZSRR oraz niektóre inne delegacje domagały się aby Rada zażądała wycofania wojsk obu stron na pozycje sprzed 5 czerwca.

Czwartek 8 czerwca: Korespondenci z Paryża donoszą, że w dniach 6 i 8 czerwca między Pałacem Elizejskim a Kremlem funkcjonował „zielony telefon", bezpośrednia linia łącząca szefa państwa francuskiego z szefem rządu radzieckiego.

◇ Szef sztabu napastniczej armii Izraela gen. Rabin: „Wojska Izraela zajęły większą część Półwyspu Synajskiego". Moshe Dajan, po zajęciu przez wojska izraelskie jordańskiej części Jerozolimy: „Powróciliśmy tutaj i nigdy stąd nie odejdziemy"

◇ Kraje arabskie wstrzymują dostawy ropy naftowej dla krajów pomagających Izraelowi.

Piątek 9 czerwca: U Thant powiadomił Radę Bezpieczeństwa, że ZRA i Izrael zgodziły się na przerwanie ognia. Mimo to na Półwyspie Synajskim trwa nadal ofensywa wojsk Izraela.

◇ Samoloty amerykańskie i brytyjskie przeprowadzają loty zwiadowcze nad Synajem, współpracując z lotnictwem izraelskim.

◇ Izraelska łódź torpedowa i samolot zaatakowały amerykański okręt łącznikowy na Morzu Śródziemnym. Wielu obserwatorów ONZ uważa, że atak samolotu i kutrów torpedowych Izraela na amerykański statek był świadomie zamierzoną prowokacją. Chodziło o sprawienie wrażenia, że „Liberty" padła ofiarą ataku radzieckiego lub egipskiego.

◇ W Moskwie odbyło się spotkanie przywódców partii komunistycznych i robotniczych oraz rządów krajów socjalistycznych. Na zakończenie spotkania uchwalono oświadczenie podpisane przez najwyższych przedstawicieli władz partyjnych i państwowych, Bułgarii, CSRS, NRD, Jugosławii, Polski, Węgier i Związku Radzieckiego. „Jeśli rząd Izraela nie zaprzestanie agresji i nie cofnie wojsk na linie rozejmową, państwa socjalistyczne, które podpisały to oświadczenie, uczynią wszystko co niezbędne, by dopomóc narodom arabskim do udzielenia zdecydowanej odprawy agresorowi".

◇ Prezydent G. A. Naser podał się do dymisji. Tłumy mieszkańców stolicy wyległy na ulice skandując: „My chcemy Nasera". Naser odwołał swą decyzję.

◇ Izraelski komentator radiowy o przebiegu agresji: „Przez dziesięciolecia będzie się w szkołach wojennych całego świata studiować operacje lotnicze Izraela jako najlepszy przykład sztuki wojennej, mogący się równać ze zdecydowanym sukcesem niemieckiej Luftwaffe w czasie ataku na Polskę w 1939 roku" (!!!)

Sobota 10 czerwca: Mosha Dajan: „Izrael nie odda nigdy strefy Gazy ZRA, ani rejonów Jordanii położonych na zachód od rzeki Jordan"

◇ Krasnaja Zwiezda: „Przerwanie ognia to tylko pierwszy niezbędny krok do przerwania imperialistycznej agresji. Za nim powinno nastąpić bezwarunkowe wycofanie wojsk z okupowanych obszarów. Tego domagają się miliony ludzi i potrafią one garstce agresorów narzucić swoją wolę".

Niedziela 11 czerwca: Do stolicy Jordanii napływa olbrzymia fala uchodźców z terenów położonych na zachód od rzeki Jordan i okupowanych przez agresora izraelskiego. Wśród uchodźców znajdują się kobiety, dzieci i starcy. Nie mają ze sobą żadnego bagażu, gdyż — jak oświadczyli — okupanci izraelscy zabronili im zabierać cokolwiek ze sobą. Odebrano im dowody osobiste i pieniądze, a kobiety obrabowano z kosztowności.

◇ Jordania ujawniła, że wojska Izraela użyły napalmu przeciwko wojsku i ludności cywilnej tego kraju.

◇ Związek Radziecki, Czechosłowacja, Bułgaria i Polska zerwały stosunki dyplomatyczne z Izraelem.

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH". W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (—) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelniczych Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów", na adres: Łódź ul. Piotrkowska 96.

	+	
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obyczajowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
felietony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach"?

Nazwisko i imię . . . . . .

wiek . . . . . .

zawód . . . . . .

adres . . . . . .

JAN KOPROWSKI

Na sali i w kuluarach

NOTATKI ZE ZJAZDU PISARZY W MOSKWIE

Zjazd rozpoczął się 22 maja w sali posiedzeń Wielkiego Pałacu Kremlowskiego, ale nasza polska delegacja (Jarosław Iwaszkiewicz i piszący te słowa) przyjechała do Moskwy dwa dni wcześniej. Mieliśmy więc trochę czasu, aby wyskoczyć poza stolicę i zobaczyć kawałek wiosennego pejzażu rosyjskiego. Wybraliśmy Rostow nad jeziorem Nero (nie ten nad Donem) i Jarosławl — najstarsze miasta rosyjskie, bogate w zespoły zabytkowych cerkwi i pamiątki starej architektury. Wraz z nami pojechali: nasz opiekun i świetny znawca literatury polskiej, Wiktor Borisow, oraz krytyk literacki i teatralny, a przy tym człowiek niezwykle pogodny — Władimir Frołow. Dzień piękny, Frołow opowiada zabawne historie, zwiedzamy cerkwie ze wspaniałymi malowidłami, które zachowały się w stanie godnym podziwu. W Jarosławlu idziemy na brzeg Wołgi. Wieczór ciepły, światła odbijają się w szerokiej rzece, po której majestatycznie i powoli płynie statek pasażerski z Astrachania do Moskwy. Podróż na tej trasie trwa dziesięć dni. Statek oświetlony, pasażerowie śpiewają, na brzegu pełno ludzi, wśród nich dwaj polscy pisarze, którzy znaleźli się tutaj po raz pierwszy w życiu. W Jarosławlu budzi zachwyt tzw. Wielka Cerkiew Iljińskaja, na murach obronnych tablica z napisem, z którego dowiadujemy się, że twierdza wytrzymała „napór polskich interwentów w 1609 roku".

Jarosławl. Cerkiew z XVII wieku.

Nazajutrz, w drodze powrotnej do Moskwy, zatrzymujemy się we wsi Karabicha, aby obejrzeć dom, w którym od 1862 do 1875 roku przebywał w miesiące letnie Mikołaj Niekrasow. W dworku, przemienionym na muzeum, pełno pamiątek, związanych z życiem i twórczością Niekrasowa. Moją uwagę zatrzymuje list poety do brata Fiodora z 26 lutego 1873 roku. Oto, co pisał Niekrasow: „Wszystko idzie po staremu. Literackie kundle gryzą mnie, a publiczność kupuje i czyta". Jeszcze krótki postój w Pieresławlu Zaleskim, zwiedzanie pałacyku Piotra I na wzgórzu, skąd widać piękne, błyszczące w słońcu jezioro. Obok pałacyku muzeum, w którym znajduje się „Botik Pietra I" czyli łódź z drzewa, wykonana w całości przez tego energicznego i mądrego cara.

Wieczorem jesteśmy w Moskwie. Mieszkamy w hotelu „Moskwa", gdzie ulokowano wszystkich gości zagranicznych. Wręczono nam teczki z materiałami zjazdowymi.

* * *

Uroczystego otwarcia IV Zjazdu dokonał nestor pisarzy rosyjskich, prezes Związku Literatów — Konstanty Fiedin, w prezydium zasiedli tacy autorzy jak Michał Szołochow, Leonid Leonow, Mikoła Bażan, Konstanty Simonow i inni. Nie ma Paustowskiego, który zachorzał, i Erenburga, który wyjechał do Włoch. Zjazd zaszczycili swoją obecnością przedstawiciele najwyższych władz państwowych i partyjnych: Kosygin, Breżniew, Podgorny i Susłow. Siedzimy w grupie delegacji zagranicznych. Widzę Pablo Nerudę, Annę Seghers, Fryderyka Dürrenmatta, Zacharię Stancu, H. M. Enzensbergera, Carlo Levi, Armanda Lanoux.

Referatów dużo: o prozie, o poezji, o dramacie, o krytyce literackiej, o literaturze dla dzieci i młodzieży, o życiu i działalności organizacji związkowej. W czasie dyskusji wystąpią przedstawiciele literatur narodowych i też właściwie wygłoszą sprawozdania, w których będzie dużo nazwisk i wiele tytułów. Ktoś zażartuje w kuluarach: „Z trybuny odczytuje się książki telefoniczne". Ciekawe dane zawiera referat Woronkowa. Wynika z niego, że ogółem zrzeszonych jest w ZSRR 6608 pisarzy. W czasie pomiędzy trzecim (1959) a czwartym (obecnym) zjazdem przyjęto do związku 1807 autorów. Jest to więc organizacja ogromna i nic dziwnego, że zarząd główny liczy ponad czterdzieści osób.

Inna ciekawa sprawa. Najlepsze książki ostatnich lat, przynajmniej w prozie, to książki pisarzy republikańskich: Białorusina Rybaka, Litwinów Marcinkiewicziusa i Awiziusa, Kirgiza Ajtmatowa, Estończyka Smuula. Prawda, niektóre z tych nowych utworów poddane zostały ostrej krytyce, jak np. powieść Możajewa „Z życia Fiodora Kuzkina", w której bohater wyłamuje się ze wspólnoty kołchozowej, ale to właśnie dowodzi, że Możajew napisał utwór ciekawy, budzący uznanie i sprzeciw. Już Lew Tołstoj zauważył, że najbardziej niepokojąca sytuacja następuje wtedy, gdy utwór pisarza podoba się wszystkim. Według starego mistrza literatury rosyjskiej dzieło naprawdę wybitne wywołuje oceny sprzeczne, bo jest to dzieło odkrywcze i nowe, a więc dyskusyjne i sporne.

* * *

Za najciekawsze wystąpienia dyskusyjne uznano głosy Konstantego Simonowa, Borisa Polewoja, redaktora naczelnego „Woprosów literatury" — Ozierowa, Wiery Kietlińskiej i jeszcze paru innych. Oczywiście wyróżniło się także wystąpienie Szołochowa (drukowane w poprzednim numerze „Odgłosów"), który mówił dowcipnie, ale zdania były podzielone, a niektórzy uważali wręcz, że Szołochow nie był w najlepszej formie. Wiera Kietlińska z Leningradu była drugą osobą na zjeździe (po A. Surkowie), która mówiła z pamięci, bez żadnej kartki. Wszyscy inni dyskutanci mieli swoje przemówienia napisane. Upomniała się ona o Sołżenicyna, stwierdziła, że „wirus lakiernictwa nie zniknął jeszcze z naszej literatury", a następnie sporo miejsca poświęciła środowisku leningradzkiemu, jego potrzebom i dezyderatom. Słuchając jej przemówienia, wynajdywałem analogie do sytuacji w naszym łódzkim środowisku. Konstanty Simonow zajął się tematyką ostatniej wojny w literaturze, postulował pełną prawdę opisu, zwłaszcza wydarzeń z lat 1941—42, kiedy to kraj przeżywał okres klęski i cofania się pod naporem armii niemieckiej. Przemówienie Simonowa było godne, ładnie wypowiedziane, pełne troski o los literatury.

Ozierow i Polewoj zajęli się problemami młodych, przy czym i jeden i drugi nie skąpili młodzieży literackiej gorzkich uwag. Piętnowali zwłaszcza dążenie do szybkiej, a ich zdaniem — szkodliwej profesjonalizacji, ganili ubóstwo intelektualne i tzw. ułatwiony tryb życia młodych poetów i prozaików. Młodzi pisarze — mówił Polewoj, obecny redaktor miesięcznika „Junost" — uciekają od pracy redakcyjnej, nie kwapią się do wyjazdów poza rogatki Moskwy, jałowe życie kawiarniane zdaje się być ich ideałem. Znowu w tym momencie myślałem o naszych polskich stosunkach. Mimo całej odmienności problematyki w literaturze radzieckiej i naszej, pewne rzeczy wydają się zbieżne, a niektóre są nawet identyczne.

* * *

Jako pierwszy z delegacji zagranicznych przemawiał Jarosław Iwaszkiewicz. Trzeba w tym miejscu powiedzieć, że Iwaszkiewicz jest pisarzem w ZSRR bardzo znanym i popularnym. Nie tylko przełożono wiele jego utworów na język rosyjski (ostatnio piękne jego opowiadanie „Kościół w Skaryszewie"), również krytycy i eseiści zajmują się oceną jego pisarstwa. W nowym tomie szkiców Motylowej o dwudziestowiecznej powieści, sporo miejsca poświęcono Iwaszkiewiczowi i Dąbrowskiej. Mogłem się przekonać, jak wielu przyjaciół wśród pisarzy rosyjskich posiada Iwaszkiewicz, jak serdeczne więzy łączą go z takimi autorami jak Paustowski, Fiedin czy Bażan.

Wystąpienie Iwaszkiewicza było krótkie i, jak zwykle u niego, nacechowane ową charakterystyczną nutą bezpośredniości. Iwaszkiewicz mówi świetnie po rosyjsku, francusku, duńsku, niemiecku, wśród gości zjazdowych był z pewnością jednym z najbardziej utalentowanych pisarzy — lingwistów. W swoim przemówieniu, przyjętym ciepło i serdecznie, Iwaszkiewicz powiedział m. innymi: „Wszystko, i dobre i złe — bo przecież jesteśmy ludźmi i popełniamy wszyscy te czy inne błędy — wszystko sumuje się i zlicza, i wszystko staje się przeżyciem i dziedzictwem dla wszystkich ludzi dobrej woli. Tak się buduje mosty między ludźmi, tak się buduje pokój".

Do przemówienia Iwaszkiewicza nawiązywali niektórzy dyskutanci, na Iwaszkiewicza powoływał się Polewoj, do Iwaszkiewicza zwrócił się również w swoim wystąpieniu Szołochow. O ile mogłem się zorientować, literatura polska budzi u naszych wschodnich sąsiadów duże zainteresowanie. Opowiadano mi, że wielu młodych ludzi uczy się języka polskiego, by móc czytać utwory naszych pisarzy w oryginale. Wiele też się przekłada rzeczy prozą, dramatów i wierszy.

* * *

W czasie przerw schodziliśmy na dół do bufetu. Zainstalowano tam również kioski z książkami i gazetami, kąciki upominków, pocztę. Rojno i gwarno było w czasie tych przerw. Spotkania ze starymi znajomymi i zawiązywanie nowych znajomości i przyjaźni. Mieszały się języki jak w legendarnej wieży Babel. Na zjazd przybyły przecież delegacje z 34 krajów Europy i świata. Największe zainteresowanie budzili przedstawiciele Wietnamu i grecki pisarz Costas Codzias, który zdołał zbiec z kraju przed przewrotem i przez Włochy przyjechał do Moskwy. Jego dramatyczna wypowiedź o sytuacji w Grecji, którą zamieniono w „cmentarz kultury", poruszyła wszystkich uczestników zjazdu. Zwracał uwagę wszędobylski i wścibski Giancarlo Vigorelli, sekretarz generalny COMES-u. Dostojnie wyglądał Włoch Carlo Levi. Dürrenmatta widziało się z nieodstępnym cygarem w ustach. Artur Lundkvist i Maria Wine ze Szwecji byli chyba najmniej mówiącą parą na zjeździe. Za to gadatliwy okazał się Peter Veres z Budapesztu (o nim i innych cudzoziemcach w następnym numerze). Przewodniczący delegacji czechosłowackiej, Jiri Sotola, wygłosił piękne przemówienie. Powiedział w nim m. innymi: „Literatura ZSRR, Czechosłowacji, Polski, Węgier i innych krajów nie może być jednakowa. Jest socjalistyczna, ale każda z nich jest i musi być inna". Natomiast waszego sprawozdawcę rozczarowali Zacharia Stancu z Rumunii i Michaiło Lalić z Jugosławii. Obaj gadali komunały. Niestety.

* * *

Jednego popołudnia (w czasie, kiedy wybierano nowy zarząd na posiedzeniu zamkniętym) pojechałem do podmoskiewskiej miejscowości willowej — Pieriedielkino. Towarzyszył mi Władimir Bielajew, prozaik i autor scenariuszy filmowych, mówiący świetnie po polsku i znający wielu Polaków. „Niech pan pozdrowi ode mnie Jadzię Andrzejewską i Saszę Bardiniego" — powiedział, gdyśmy pili wino w jego daczy. Od lat związany ze sprawami polskimi, zna naszych twórców, wśród których ma wielu przyjaciół. Jest przy tym człowiekiem pogodnym, umiejącym interesująco i ciekawie opowiadać. Oczywiście, będąc w Pieriedielkino, nie omieszkałem pójść na cmentarz, by obejrzeć grób Borysa Pasternaka. Trzy wysokie sosny kanadyjskie stoją obok tego grobu, a wokół rosną gęste krzewy dzikiej róży, młoda brzózka i młoda jarzębina. Mały kamienny obelisk, na nim imię i nazwisko poety oraz wyrysowana rylcem jego głowa. Na grobie mała płyta, a na niej data narodzin i śmierci: 10. II. 1880 — 30. V. 1960. Długo stałem nad grobem Pasternaka. Było ciepło, w górze szumiały kanadyjskie sosny, pachniały krzaki dzikich róż, szeleściła drobnymi listkami brzoza i jarzębina. Wzruszyłem się i myślałem o tym, aby napisać wiersz. Może napiszę.

* * *

Zjazd się skończył. Wybrano nowy zarząd z Konstantym Fiedinem na czele, uchwalono kilka ważnych rezolucji, które nazajutrz ukazały się w prasie. Niektórzy delegaci zaraz po zjeździe rozjechali się do swoich domów, inni — udali się w podróż po Kraju Rad. Wasz sprawozdawca odwiedził Tallin i Rygę.

Nie ulega kwestii, że mogliśmy się między sobą lepiej poznać, a może nawet zaprzyjaźnić. Bo, w końcu, jakiż może być większy pożytek wszelkich zjazdów, niż możność poznania się i wzajemnego zrozumienia?

Nożycami przez prasę

DWUTOROWOŚĆ

Zastanawiając się nad tym, co hamuje rozwój rzemiosła (a wciąż się zastanawiamy i wciąż postulujemy) czyli rozwój rzeczywistych „usług dla ludności" — ów wystawiany w oknie a często wyśmiewany napis woalował nieraz działalność produkcyjną — „Polityka" wysuwa na czoło przyczyn sprawy podatkowe i panującą w nich dwutorowość:

Bardzo istotną sprawą jest rozbieżność między zasadami polityki wobec rzemiosła a praktyczną realizacją tej polityki. Ministerstwo Finansów stoi na gruncie podporządkowania doraźnych interesów fiskalnych — nadrzędnym, długofalowym interesom gospodarczym. Takie deklaracje słyszeliśmy wielekroć od odpowiedzialnych przedstawicieli resortu; potwierdzeniem są tu zresztą również nowelizacje przepisów oraz sposób załatwiania przez ministerstwo wniosków rzemieślników, docierających w drodze zażaleń. Ta teoria i praktyka ministerstwa jest jednak wyraźnie zmieniona przez terenowe placówki finansowe, które — zapewne pod naciskiem bieżących potrzeb „swojego" budżetu (do którego wpływają podatki z rzemiosła) — preferują właśnie doraźne interesy fiskalne, nie troszcząc się o to, że jeśli np. w następnym roku liczba zakładów zmniejszy się — spadną również wpływy podatkowe..

POLACY W WALCZĄCEJ FRANCJI

Generał de Gaulle musiał, niestety odwołać przyjazd, ale pisma nadal poświęcają wiele uwagi tematom polsko-francuskim. Gen. Franciszek Skibiński pisze w „Kulturze" o Champaubert i Falaise czyli o polsko-francuskim braterstwie broni, zaś Olgierd Terlecki w „Życiu Literackim" już w kilku odcinkach opisuje działalność rządu polskiego we Francji, kładąc nacisk na obronę gen. Sikorskiego przed dość w opinii utrwalonym zarzutem, iż ten rozproszył wojsko na frontach francuskich i nie wiele w dniach klęski dało się ewakuować do Anglii. Według Terleckiego nie mogło właściwie być inaczej. Krytykuje on natomiast skupienie w jednej osobie godności naczelnego wodza i obowiązków premiera rządu.

JUBILEUSZ KTÓRY ROZRZEWNIA

Jubileusz obchodzi „Głos Nauczycielski", pismo poświęcone sprawom zawodu nauczycielskiego, sprawom ludzi, od których w pierwszym rzędzie zależy jakość kulturalna naszego społeczeństwa. Obchodzi także swój jubileusz „Płomyk". Należy te fakty, pozornie skromne, odnotować i przypomnieć w ślad za „Życiem Literackim":

Pięćdziesięciolecie obchodzi również **„PŁOMYK"**, ulubione pismo wczesnej młodości kilku już pokoleń. Powstało w roku 1917; założycielką i pierwszą redaktorką była Rozalia Brzezińska, po czym redakcję objęła Helena Radwanowa, stronę zaś wydawniczą Józef Włodarski. Opiekował się pismem Związek Nauczycielstwa Polskiego. Od 250 prenumeratorów pierwszych numerów, „Płomyk" doszedł do 100.000 nakładu w roku szkolnym 1935/36. Na II Międzynarodowym Kongresie Prasy Pedagogicznej w Paryżu w dniach 16—20 lipca 1937 został uznany za najlepsze na świecie pismo dziecięce. Od roku 1919 wychodził z dodatkiem „Płomyczek", przeznaczonym dla młodszych dzieci, który później się usamodzielnił. Obecnie wydawca „Płomyka" jest Nasza Księgarnia. Nakład obecny — 250.000 egzemplarzy. Naczelną redakcję sprawuje Hanna Ożogowska, kierownictwo artystyczne Kalina Zarzycka. Historii półwiecza „Płomyka" poświęcony został jego tegoroczny numer 9 z dnia 10 maja.

PLAGA?

Coraz częściej sarka się na literackie konkursy tematyczne w dziedzinie prozy i poezji. W wypadku prozy mówi się o usługach literackich, w wypadku wierszy o poezji kalendarzowej. Jeszcze Ilf i Pietrow zjadliwie wyśmiewali usługi literackie. Plaga źle pojmujących swoją rolę mecenasów literackich, niestety, ma raczej wyraźne przypływy. Za rekord uznała „Poezja" piotrkowski „konkurs poetycki dla poetów z Łodzi ziemi łódzkiej i województwa zielonogórskiego, w którym preferowane będą utwory związane z 50 rocznicą Rewolucji Październikowej, 750-leciem Piotrkowa i 10-leciem Związku Młodzieży Socjalistycznej"...

Zauważa kronikarz „Poezji":

„Konkurs jest zarazem organizowany z okazji tych trzech, niewątpliwie dostojnych, ale przecież nie dzięki poezji, rocznic.

Przykład Piotrkowa jest typowy dla obecnej sytuacji wokół–poetyckiej. ujawnia szkodliwą dla społecznego odbioru poezji tendencję do kreowania poetyckich mistrzów regionu, odkrywa mechanizmy, które uruchomione zostaną w czasie oceny wierszy i rozdzielania nagród.."

Co nie znaczy, że nie trafiają się utwory udane w wymienionych dziedzinach. Wrocławski profesor St. Hartman napisał kiedyś utwór na konkurs „Przekroju", zalecający trzy tematy: walkę z analfabetyzmem: walkę z alkoholizmem: lektury pisma o „Syntetyczny utwór" wygląda jak poniżej:

Gdybyś umiał czytać,
łopoju,
Wiedziałbyś, co piszą w
[„Przekroju"

Świetne! Ale Pan Profesor nawet tego nie wysłał. Napisał dwuwiersz nie dla lauru, ale dla osobistej satysfakcji.

Wzięliśmy to z miesięcznika „Odra".

MAŁŻEŃSTWO W LICZBACH

Nad sytuacją niezamężnych zastanawia się „Prawo i Życie". Jakie wysnuwa prognozy?

Otóż już w roku 1956 liczba kandydatek na małżonki wynosiła 1.300.000 kobiet, zaś potencjalnych kandydatów na małżonków było 800.000 Obliczano to wg klucza prawdopodobieństwa, na gruncie wieloletnich danych, z których wynikało, że na ogół kobieta wychodzi najchętniej za mąż za mężczyznę o 3—4 lata od siebie starszego. Ale jeśli będą małżeństwa rówieśnicze?

Wpłynie to ewentualnie na większą możliwość znalezienia partnerów. Może też powstać zjawisko pobierania się starszych wiekiem kobiet z młodszymi od siebie mężczyznami, jak dotąd z różnych względów źle widziane. Na pocieszenie Maria Benedyk przypomina, iż przesuwa się granica starości.

JAN OLECHNO

MICHAŁ STRZELECKI

Sport przez małe „s”

Wychowanie fizyczne, jak głoszą instrukcje szkolne, jest integralną częścią ogólnego procesu nauczania i wychowania oraz stanowi jeden z podstawowych czynników wszechstronnego kształtowania osobowości ucznia. Czy szkolnictwo łódzkie zabezpiecza właściwie ten punkt programu nauczania?

W latach 1961—1965 przybyło nam 58 sal gimnastycznych z pełnym wyposażeniem, powstało sporo boisk przyszkolnych, ale nadal 25 proc. szkół łódzkich nie posiada własnych urządzeń sportowych. Poważny odsetek młodzieży ze szkół podstawowych i średnich nie może więc korzystać z dobrodziejstw kultury fizycznej. Zajęcia wychowania fizycznego odbywają się często na korytarzach, w klasach, albo też nie odbywają się wcale. Szczególnie upośledzone są klasy I—IV szkół podstawowych, gdzie wychowaniem fizycznym z reguły zajmują się wychowawcy klas, nauczyciele innych specjalności. To jeszcze pół biedy, gorzej — kiedy do tego zagadnienia nie przywiązuje się żadnej wagi, traktuje sie je jak przysłowiowe „piąte koło u wozu”. Przykłady? Proszę bardzo. Mało jest dziś szkół w Łodzi, które przestrzegają zarządzenia Kuratorium w sprawie ćwiczeń śródlekcyjnych przy otwartych oknach. A ile jest jeszcze takich szkół, w których nie zezwala się uczniom na wychodzenie w czasie przerw na boisko w obawie przed zabrudzeniem podłóg. Nie mówiąc już o ogólnym poziomie wychowania fizycznego, które nadal pozostawia wiele do życzenia.

Szkoły muzyczne

Osobny rozdział w tych przykładach stanowią szkoły muzyczne. Do Państwowej Podstawowej Szkoły Muzycznej uczęszcza 541 dzieci w wieku od lat 7—16, a do Państwowego Liceum Muzycznego — 310 w wieku od lat 14—19. Absolwent Liceum Muzycznego spędza w murach szkolnych przy ul. Jaracza 19, dwanaście lat swego życia. Tygodniowy wymiar godzin nauczania w Podstawowej Szkole Muzycznej wynosi od 32—38 godzin, zaś w Liceum Muzycznym od 30—38,5 godzin. Jak z tego zestawienia wynika, uczeń Podstawowej Szkoły Muzycznej ma — w zależności od klasy, do której uczęszcza — od 2 do 5 godzin zajęć szkolnych więcej niż jego kolega z normalnej szkoły podstawowej. Różnica ta, na korzyść Liceów Ogólnokształcących, występuje jeszcze silniej w Liceum Muzycznym. Do tego trzeba jednak jeszcze doliczyć godziny, jakie uczeń szkoły muzycznej musi poświęcić grze na instrumencie w domu, nie zapominając o odrobieniu zadań z przedmiotów ogólnych. Wyniki badań opublikowane przez Centralny Ośrodek Pedagogiczny Szkolnictwa Artystycznego wykazują, że czas pracy obowiązkowej uczniów tych szkół (począwszy od klas V) wynosi od 55—60 godzin w tygodniu. Dzieci te nie mają więc praktycznie możliwości, aby z innymi rówieśnikami hasać po zajęciach szkolnych na podwórku. Należy więc stworzyć im takie warunki, aby mogły one w sposób jak najbardziej prawidłowy wykorzystać czas przeznaczony na programowane zajęcia wf w szkole.

Tymczasem okazuje się, że program zajęć jest poważnie okrojony. Stwierdzili to radni z Komisji Sportu i Turystyki RN m. Łodzi, którzy przeprowadzili kontrolę w tych szkołach. Czy to wina władz szkolnych, nauczycieli wf? Z pewnością na kulturę fizyczną patrzy się tutaj z przymrużeniem oka. Z drugiej jednak strony nie można wymagać rzeczy niemożliwych do wykonania. Prawidłowe prowadzenie pracy dydaktyczno—wychowawczej w dziedzinie wychowania fizycznego wymaga bowiem odpowiedniego warsztatu. Takim warsztatem jest boisko, sala gimnastyczna. 851 dzieci szkół muzycznych ma tymczasem do swej dyspozycji tylko małą salkę o rozmiarach 104 m kw. Nie można w niej przeprowadzać wszystkich niezbędnych ćwiczeń o profilu ogólnorozwojowym, nie ma gdzie przewentylować płuc dzieci na świeżym powietrzu, bo brak boiska do zabaw i gier.

Specyfika nauczania w szkołach muzycznych, nadmierne obciążenie obowiązkowymi zajęciami, powoduje większe niż gdzie indziej zagrożenie stanu zdrowia wychowanków. Lekarz, który szczegółowo przebadał uczniów Podstawowej Szkoły Muzycznej, stwierdził 54 przypadki skolizy, 32 — kyfozy i 10 przypadków lordozy. Są to schorzenia wady postawy i objętych nimi jest ponad 15 proc. ogółu dzieci w tej szkole. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, jak bardzo potrzebne jest uczniom szkół muzycznych wychowanie fizyczne w ogóle, a gimnastyka wyrównawcza w szczególności. Ze względu na specyfikę szkoły lekarze zalecają dzieciom dużo gimnastyki i pływania. O warunkach w jakich odbywa się gimnastyka już mówiliśmy, a z pływaniem jest znów kłopot, bo nie ma ponoć miejsc na basenach. Nic podobnego. Wiemy skądinąd, że pływalnie łódzkie nie są w pełni wykorzystane, że mają jeszcze nieco wolnych godzin do dyspozycji, tak zimą, jak i latem. Cóż stoi więc na przeszkodzie, aby użyczyć więcej godzin na pływalniach młodzieży ze szkół muzycznych? Tu chodzi o zdrowie dzieci.

...i zawodowe

Podobny, a w niektórych przypadkach jeszcze gorszy, obraz panuje w szkołach zakładowych. Mieszczą się one przeważnie w starych budynkach pozbawionych sal gimnastycznych i boisk. I tutaj istnieje ścisły program nauczania wf, ale gdzie on ma być realizowany? W klasach między ławkami czy na ciasnych korytarzach? Chcąc ratować chociaż częściowo obecną sytuację, WKZZ wspólnie z Kuratorium organizują doroczne Olimpiady szkół zakładowych. Taka namiastka nie może jednak w żadnym wypadku zastąpić systematycznie i na poziomie prowadzonych zajęć wf.

W roku ubiegłym mieliśmy w Łodzi 117 szkół podstawowych, 29 licealnych i 69 — zawodowych, w których pobierało naukę około 145 tys. młodzieży. W każdej z tych szkół działa — należy zaufać statystyce podanej przez Kuratorium m. Łodzi — Szkolne Koło Sportowe. Koła te spełniają jednak tylko rolę wtajemniczenia swych członków w wyższe tajniki wiedzy sportowej, obejmują swym zasięgiem młodzież najbardziej uzdolnioną, posiadającą predyspozycje w określonych dziedzinach sportu. A pozostali? Ci mogą jeszcze korzystać z nadobowiązkowych godzin wychowania fizycznego. W praktyce godziny te nauczyciel prowadzący zajęcia poświęca jednak na treningi garstki wybrańców z wyczynowych sekcji Szkolnego Koła Sportowego. Dla pozostałych jest miejsce na trybunach i przy telewizorach. Niech tam się wyżywają, niech tam rośnie nam nowa armia kibiców! A nam chodzi przecież o to, aby ta potężna, ale zbędna w sporcie wyczynowym armia wyrosła na zdrowych obywateli.

Sprawy wychowania fizycznego w szkołach będą m. in. przedmiotem obrad sesji Rady Narodowej m. Łodzi, która odbędzie się w dniu 15 czerwca br. Rada Narodowa, a ściślej mówiąc jej agendy odpowiedzialne za ten odcinek pracy w łódzkim szkolnictwie, w miarę istniejących możliwości dążą systematycznie do poprawy istniejącej sytuacji, do usuwania występujących niedomagań. Potrzeby jednak rosną i trzeba szukać takich rozwiązań, aby mogły one przyczynić się do objęcia na co dzień kulturą fizyczną jak najszerszego grona naszej młodzieży szkolnej.

TADEUSZ GICGIER

DUET MAŁŻEŃSKI

Wieś ta leży parę kilometrów od linii podmiejskiego tramwaju. Szło więc o coś w rodzaju wycieczki, tak to sobie przynajmniej wyobrażałem.

Celem mojej wyprawy był pewien duet małżeński. Nie, nie taneczny ani wokalny, choć jeden ze znanych mi duetów tego rodzaju mógłby służyć za przedmiot do porównania.

Kiedyś poznałem małżeńską parę występującą wspólnie na deskach scenicznych w tzw. repertuarze egzotycznym. Śpiewali razem piosenki peruwiańskie, to „razem” mówię tu przez kurtuazję w stosunku do mężczyzn, śpiewała właściwie ona, a on próbował jej wtórować. Robił to w miarę dyskretnie, by poniesiony temperamentem nie naraził się żonie i... nie obnażył niedowładów swego głosu. Rumieniłem się za tego pana, zwłaszcza, że on nie wyglądał wcale na zażenowanego.

A jak przedstawia się „układ sił” w interesującym mnie duecie? Kto gra w nim pierwsze, a kto drugie skrzypce? I czy w ogóle można mówić o takim układzie?

Mieszkają w budynku za szkołą, wzniesionym specjalnie dla nauczycieli. Szkoła jest nowa, tynk na niej jeszcze świeży, od frontu dwa rzędy wielkich okien, w oknach mnóstwo roślin doniczkowych. Wszystko to wygląda budująco, przynajmniej dla oka. Bo później dowiem się, że najmniej budująco wyglądają na tym tle budowniczowie, co rusz wychodzą na jaw jakieś usterki usterki murów, instalacji, ram okiennych, które są nieszczelne i w czasie zimy podwiewa dzieciaków siedzących blisko okien. Szczególny to rodzaj niedbalstwa, które zwraca się przeciwko dzieciom. Warto by stosować za nie jakieś specjalne sankcje, i to bynajmniej nie pieniężne, bo przedsiębiorstwo zapłaci i dalej będzie robić to samo.

Z budynku mieszkalnego wychodzi młody mężczyzna w palcie z podniesionym kołnierzem, wynosi wiadro pełne popiołu, wiatr zwęszył z miejsca zabawę i rozdmuchuje popiół na wszystkie strony. Traf chce, że w takich właśnie warunkach poznaję „męską część” poszukiwanego duetu. „Męska część” wróciła przed chwilą do domu po zajęciach w szkole i przystępuje teraz do palenia w piecach. Żona nie zrobiła tego do tej pory, bo urządza dziś przepierkę. A za godzinę wychodzi do biblioteki.

Pani Zofia (tak ma na imię „żeńska część” duetu) przeprasza mnie za nieład w domu, ja przepraszam za niespodziewane najście. Gospodarze nie wyglądają jednak na zaskoczonych, wyjaśniają mi, że niespodziewane wizyty zdarzają im się bardzo często, nawet w niedzielę. Wtedy z reguły odwiedzają ich byli wychowankowie szkoły, obecni uczniowie szkół licealnych. Przychodzą z prośbą o pomoc w wypracowaniu z lektury, no bo do kogo udać się w tej sprawie, jeśli nie do pani bibliotekarki i pana „od polskiego”? A ten pan musi znać się nieźle na literaturze skoro niedawno otrzymał jako jedyny laureat powiatu łódzkiego „Srebrny Kłos” w znanym konkursie „Złotego Kłosa”.

Pan Władysław (to imię „męskiej części” duetu) zaprasza mnie do pokoju. Pokój jest skromny, znajduje się w nim tylko kilka podstawowych mebli, stół, parę krzeseł, szafa, jedynym przedmiotem zbytku jest tu skromne pianino. — To z myślą o córkach — wyjaśnia gospodarz, uprzedzając moje pytanie. W jakim są wieku? Jedna ma osiem, druga pięć lat. A tak, są jeszcze młodym małżeństwem, przynajmniej się za takie uważają.

Jakby na potwierdzenie tych słów do pokoju wchodzi pani Zofia, już odświeżona, przebrana, przeistoczona — i siada obok męża przy stole. Oczy ma jeszcze dziewczęce, żywe, cała jej sylwetka jest uosobieniem energii i przedsiębiorczości. Z miejsca wchodzi w tok rozmowy, śmieje się, wspominając poznanie z mężem.

„Bo wie pan, mąż miał narzeczoną, ale ciągle przychodził do internatu dla młodzieży greckiej, gdzie byłam wychowawczynią. Niby to chciał się dowiedzieć, jak to było z tym powstaniem greckim, które upadło. Ale ja dobrze wiedziałam, do kogo on przychodzi! Nie, nie robiłam nic, żeby go przyciągnąć, uważałam, że powinien się trzymać tamtej dziewczyny”.

Tę młodą parę zetknął ze sobą praktykowany niegdyś nakaz pracy. I rzecz przedziwna — ów nakaz stał się dla nich nakazem życiowym. Ona skończyła liceum pedagogiczne dla wychowawczyń przedszkoli w Łodzi, on — liceum pedagogiczne w Lesznie Wielkopolskim. Dziewiętnastoletnia podówczas panna Zofia została skierowana w drodze wyróżnienia do Państwowego Ośrodka Wychowawczego dla młodzieży greckiej i macedońskiej w Policach pod Szczecinem. Pan Władysław przyjechał tam jako młody nauczyciel języka polskiego. Nie wiadomo, co odkryli w sobie najpierw: sympatię do siebie czy zamiłowanie do pracy kulturalnej. Razem organizowali różne imprezy na miejscu i w tzw. terenie, w roku 1956 również razem organizowali imprezę o charakterze już czysto prywatnym, a mianowicie ślub. W rok później przyszła na świat pierwsza córeczka. Ale w gruncie rzeczy, mimo, iż bardzo młodzi, mieli dzieci o wiele więcej. Bardzo zżyli się ze swymi wychowankami, niektórzy z nich do dziś utrzymują z nimi kontakty, m. in. Greczynka z zespołu „Filipinek”, która przysyła im z każdego wyjazdu pozdrowienia. Dumni są też z innego wychowanka, świetnego tenora, Paulosa Raptisa.

Młody małżonek chciał zostać na stałe w Szczecińskiem, ale żonę ciągnęło do rodzinnych stron, bliżej Łodzi. W takich kwestiach spornych zwycięża oczywiście kobieta. W roku 1959 nasze małżeństwo widzimy już na podłódzkiej wsi w okolicach Aleksandrowa. Pani Zofia zostaje najpierw kierowniczką przedszkola, potem obejmuje pracę w bibliotece gromadzkiej. Pracuje w niej zresztą do dziś, mimo bardzo skromnego uposażenia — i sporych kłopotów, ja-

Z całego świata

DER SPIEGEL

donosi:

Komu grozi A K O N?

17-letni Rudolf Kothmeier wraz ze swymi kolegami chciał zwrócić uwagę światowej opinii publicznej na problem zjednoczenia Niemiec. W tym celu i „tylko dla demonstracji" grupa miłych młodzieńców zamierzała ostrzelać dom włoskiego ministra spraw wewnętrznych Paolo Taviani w Bawarii pod Genuą z karabinów maszynowych. Na szczęście włoska tajna policja wyprzedziła zamach i aresztowała zarówno Kothmeiera, jak i pozostałych członków jego grupy, noszącej szumną nazwę włoska sekcja „Akcji Odra — Nysa" (AKON).

Około trzydziestu terrorystów działających w tej grupie organizacji AKON — jak podał do wiadomości przedstawiciel władz śledczych — zostało zorganizowanych w bojowy oddział przez wykładowcę języka niemieckiego, notorycznego faszystę Castruccio. Działał on już uprzednio w kilku włoskich organizacjach skrajnie prawicowych, m. in. w „Związku Synów Słońca", która to organizacja przyjmuje w swe szeregi tylko przedstawicieli „rasowych aryjczyków".

„Syn Słońca" Castruccio i jego terrorystyczna gwardia z Kothmeierem na czele wpadła w oko genueńskiej policji w czasie akcji rozdawania ulotek domagających się „wolności dla zagrabionych niemieckich terytoriów". Ulotka, jak się okazało, drukowana była na zlecenie „akcji Odra — Nysa" (AKON) oczywiście w NRF.

Oprócz tych ulotek włoska terrorystyczna grupa AKON wydawała własne pismenko opatrzone w tytule imponującą swastyką. Hasło przewodnie widniejące na tym druczku głosiło: „Jeśli w Europie ma znów zapanować kultura i porządek, musi zmartwychwstać wielka Rzesza niemiecka!".

Po ujęciu grupy terrorystycznej policja włoska wykryła w okolicach Lago dei Buoi, w opuszczonych sztolniach starej kopalni, bogaty magazyn zbrojeniowy terrorystów; ponad 100 karabinów maszynowych, 2 lekkie działa, pancerfausty, miny, granaty ręczne i wiele skrzynek amunicji.

W czasie tej akcji wywiadowcy genueńskiej policji zauważyli włoskiego zwolennika grupy AKON, niejakiego Andrea Pinasco, który ukrywał pistolet maszynowy zawinięty w gazety. Działo się to w samym sercu miasta, w okolicach Piazza de Ferrari. Aresztowanie terrorysty już w pierwszej fazie śledztwa doprowadziło do wykrycia wielu magazynów broni i dalszych aresztowań wśród miejscowych włoskich i niemieckich faszystów.

Ten skandal, nabierający cech międzynarodowych, zmusił senne władze bezpieczeństwa NRF do zajęcia się organizacją AKON. W pierwszych oświadczeniach starano się sprawę zbagatelizować: i tak ministerstwo spraw wewnętrznych orzekło, że ilość członków AKON na terenie NRF nie przekracza 170 osób.

AKON powstał we wrześniu 1962 r. jako „ogólnonarodowy ruch wymierzony przeciw rezygnacji z terenów wschodnich". W ogłoszonym manifeście organizacja domaga się przywrócenia granic z roku 1914 i dystansuje się w swych zapędach rewizjonistycznych nawet od najbardziej prawicowych radykalnych NRF-owskich organizacji. Jako przewodniczący AKON — zgodnie z prawem obowiązującym w NRF zarejestrował się najpierw niejaki Wolfgang Geisler, lat 63, prawnik, w przeszłości oczywiście członek NSDAP i notoryczny hitlerowiec.

Przy utworzeniu tej szczególnej organizacji pomagała oczywiście „Deutsche National-Zeitung und Soldaten-Zeitung", gazeta tak niedwuznacznie neohitlerowska, iż nawet w NRF uważa się ją za zjawisko wstydliwe pod względem politycznym. Ten organ rozprowadza i ulotki propagandowe AKON-u i deklaracje wpisowe tej organizacji. Warto zacytować pod jakimi hasłami odbywała się ta akcja: „Czyżbyś wahał się współdziałać z akcją idealistów i patriotów? Możemy tylko jak najgoręcej ją popierać i zapewnić cię, że znajdziesz się w najlepszym towarzystwie...".

Od powstania AKON — podobnie jak niegdyś SS — zdradzał szczególną skłonność do konspiracji. Lecz mimo, iż rzecz była starannie ukrywana przed opinią publiczną, wkrótce wyszło na jaw, że AKON zabiega o zjednoczenie ekstremistycznych neohitlerowskich ugrupowań i to nie tylko na terenie NRF, lecz również w tych krajach, gdzie neofaszyzm może się plenić. Tak np. AKON wchłonął działający w Południowej Afryce skrajnie nacjonalistyczny i rasistowski Bund Heimattreuer Jugend. (Odznaka BHJ — starogermański znak bardzo podobny do swastyki. Pozdrowienie — „Heil dir!").

Na terenie NRF sprawa AKON-u wyszła na pewien czas w śledztwie dotyczącym importu portretów Hitlera (rok 1966), potem w związku z terrorystyczną akcją w południowym Tyrolu (rok 1966), wreszcie w czasie kampanii prowadzonej wśród młodzieży, przeciwko uznaniu granicy na Odrze i Nysie, popartej pogromowymi ulotkami (rok 1967). Wszystkie te sprawy skwapliwie jednak zatuszowano.

AKON, zawsze gdy zabiera głos oficjalny jego rzecznik, stroi się w gołębie piórka i deklaruje swe zainteresowania „wyłącznie" akcjami legalnymi i propagandowymi. Jak jest w istocie? Ulotki grupy AKON ukazywały się w południowym Tyrolu tuż przed terrorystycznymi zamachami. W roku 1965 ówczesny drugi z kolei przywódca grupy AKON Joachim Drischel zmuszony był przyznać, że jeden z członków grupy był zamieszany w akcję terrorystyczną w Tyrolu. W aktach policji NRF kryją się ślady wielu takich afer, które nie dotarły na łamy prasy: bowiem AKON niezwykle rzadko bywa wymieniany i na konferencjach prasowych ministerstwa spraw wewnętrznych NRF i w oświadczeniach władz prokuratorskich.

Mimo to wiadomo, że w ostatnim czasie akcje grupy AKON przybrały na sile. Np. można to było zauważyć, gdy AKON organizował masowy wyjazd pod pretekstem kibicowania w międzypaństwowym meczu koszykówki we Wrocławiu. Wielu członków grupy AKON odegrało wówczas rolę kibiców-sportowców. Wkrótce potem rozprowadzona w Monachium ulotka AKON wzywała zlot wysiedleńców do aktywniejszej politycznie postawy: „Nie Berlin a Warszawa jest winną wybuchu drugiej wojny światowej i za tę winę Polacy muszą odpokutować...".

Führer Rubin

Das deutsche Volk
braucht seine Ostgebiete!

Sehr geehrte Mitbürger!

Das deutsche Volk braucht seine ostdeutschen Agrargebiete. Die Not des Jahres 1924 (Weltwirtschaftskrise) konnte unser Volk deshalb nur überstehen, weil die Ostgebiete erheblich zur Volksernährung beitrugen. Darum sollte jeder Deutsche denken!

Rundfunk, Fernsehen und ein großer Teil der Presse versuchen seit Jahren, das deutsche Volk zum Verzicht auf diese lebenswichtigen Gebiete zu bewegen. Ein Teil der deutschen Jugend sieht diesem Problem desinteressiert gegenüber, da die Jugenderziehung hier fast völlig versagt. Man entschuldigt die Jugend wegen dieser Haltung und vergißt, daß die Jugend stets das Ergebnis ihrer Erzieher ist.

Die **Aktion Oder-Neiße (AKON) e. V.** wirkt der Verzichtspropaganda mit sachlichen Argumenten entgegen. Die **AKON** spricht das aus, was dem deutschen Volke verschwiegen wird. Die vielen an uns gerichteten Fragen zeigen, daß das deutsche Volk in seiner überwiegenden Mehrheit keineswegs zum Verzicht bereit ist, wenn auch viele Mitbürger von Resignation befallen sind.

Mit dieser Flugschrift beantworten wir die am häufigsten gestellten Fragen, deren Beantwortung auch für Sie von Interesse sein dürfte.

Aktion Oder-Neiße (AKON) e. V.

3 Fragen — 3 Antworten:

Ulotka wydana przez AKON.

Zresztą nie tylko przeciwko Polsce wymierzane są akcje grupy AKON. Jednym tchem wymienia się w tych publikacjach i Kłajpedę, i „korytarz", i „tereny Sudetów", i dawną prowincję Rzeszy — Poznańskie. Na mapie, która zdobi ulotkę AKON (patrz zdjęcie) — organizacja ta domaga się wcielenia do Rzeszy również terenów czeskich i radzieckich.

Jeśli chodzi o obecnie zamieszkującą te tereny ludność, to AKON w wydanej w roku 1964 ulotce żąda, by opuściła ona (cytujemy) „prawny teren Rzeszy, który należy do Niemców, i chwilowo tylko opuszczony został przez nich na skutek akcji bezprawnych.

Na miejsce tak usuniętej ludności polskiej, czeskiej i rosyjskiej AKON zamierza osiedlić „młode niemieckie małżeństwa", którym realizując swe założenia polityczne AKON zapewni „spełnienie marzeń o niemieckim domostwie", a następnie cały miejscowy przemysł „podporządkowany zostanie wielkiemu przemysłowi rdzennie niemieckiemu jako przedsiębiorstwa filialne".

Mimo głębokiej konspiracji, wiadomo kto jest ideologiem tej szczególnej organizacji: Wilhelm Pleyer był poetą — laureatem NSDAP. W przeszłości zamieszany był w organizację zakazanego następnie terrorystycznego Narodowego Związku Studentów (Bund Nationaler Studenten). Wydanie Brockhausa z 1941 roku wymienia go jako „wybitnie zasłużonego dla sprawy przyłączenia Sudetów do wielkiej Rzeszy". W AKON pełni on funkcje głównego propagandysty. Sprawy organizacyjne spoczywają w ręku Bertholda Rubina, byłego spadochroniarza, wciąż jeszcze czynnie uprawiającego ten sport, w przeszłości oczywiście członka NSDAP. Jest rzeczą charakterystyczną, że właśnie Rubin stara się jak najszerzej rozwinąć we wciąż nieokreślonych liczbowo szeregach członków AKON zamiłowanie do sportu spadochronowego. Zapytany wręcz o to, czy łączy się to z planami ewentualnych zrzutów spadochronowych na teren NRD, szef organizacji AKON-u odpowiedział niezbyt nawet wymijająco: „To drażliwe pytanie i wolę w tej chwili na ten temat nie mówić".

Innym działaczem AKON-u jest Willy Glasebock, organizacyjny ekspert od spraw zbrodni wojennych. Z zawodu jest to dentysta, który jednak porzucił lukratywną praktykę, by całkowicie poświęcić się działalności politycznej.

Dysponując poważnymi środkami finansowymi AKON podejmuje coraz śmielsze akcje: W 1965 roku „fuehrer" Drischel przystąpił do organizowania oddziałów specjalnych i złożył oświadczenie powtórzone przez prasę NRF, że AKON werbuje członków za granicą za pośrednictwem „oficjalnych i własnych stacji radiowych". I tak np. ukazały się takie werbunkowe ogłoszenia w USA. We Francji przedstawicielem grupy AKON został aktywny faszysta, niejaki Calzi, znany policji jako francuski członek międzynarodowej organizacji faszystowskiej, tzw. NPI.

Czasem opinia publiczna dowiaduje się o działalności grupy AKON dopiero wtedy, gdy wybuchnie skandal polityczny: terroryści Bragard i van Sande, członkowie flamandzkiego oddziału Światowej Unii Narodowych Socjalistów, zaaresztowani pod zarzutem szantażu i listów z pogróżkami, w śledztwie zeznali o swych kontaktach z grupą AKON. Podobnie rzecz miała się z grupą nacjonalistów skandynawskich. Policja uważa również, że akcje terrorystyczne wymierzone przeciw postępowym niemieckim intelektualistom, jak np. Guenther Grass, organizowane są przez grupę AKON.

Ale w większości wypadków wszystkie te podejrzenia mają cechy niesprawdzonej hipotezy, a materiał dochodzeniowy kryje się w tajnych sejfach NRF-owskiej policji i jest niedostępny dla opinii publicznej. Wiadomo więc tylko, że AKON istnieje i działa, że ma zasięg międzynarodowy, że rozporządza poważnymi funduszami. I ten ostatni motyw wskazuje na to, iż jak zwykle za prawicowymi terrorystami kryje się NRF-owski wielki kapitał.

A więc — istotnie — „najlepsze towarzystwo...

---

kie nastręcza prowadzenie domu i opieka nad małymi dziećmi. Skądinąd wiem, że nie zrezygnowała również z inicjatyw kulturalnych, wspólnie z mężem prowadzą zespół dziecięcy, który „wystawiał" bajki Konopnickiej i Andersena. Te przedstawienia są wydarzeniem dla całej wsi, a dla rodziców małoletnich artystów w szczególności.

A pan Władysław, nasza — „męska część" duetu? Czy „występuje" tylko z żoną, czy również indywidualnie? Raczej nie sprawia takiego wrażenia, jest powolny w ruchach, powolny w słowie...

Przed odwiedzeniem małżeństwa Gubańskich, byłem w Gromadzkiej Radzie Narodowej w Rąbieniu, bowiem wkraczając na obcy teren lepiej się zameldować u gospodarzy terenu. Po krótkiej rozmowie odetchnąłem. Moja męska ambicja nie została narażona na szwank z powodu pana Władysława. Wręcz przeciwnie, poczułem się wyraźnie podbudowany. Miejscowe władze wysoko sobie cenią jego osobę. Dobry nauczyciel, wykładowca w dwóch miejscowych szkołach: w Szkole Podstawowej i w Zasadniczej Szkole Mechanizacji Rolnictwa. Aktywista kulturalny. Członek Zarządu Kółek Rolniczych. Opiekun społeczny. I w ogóle — pogotowie ratunkowe. No bo na wsi rozmaicie bywa. Gromada obejmuje dziesięć solectw, a niektórzy opiekunowie społeczni niezbyt sobie radzą w swej pracy. Więc nauczyciel wsiada na rower i odwiedza chłopskie rodziny, potrzebujące pomocy.

Rzecz jasna, że w rozmowie z panem Władysławem nawiązałem w pierwszym rzędzie do tej strony jego działalności. Cóż za spiętrzenie problemów, to temat na kilka oddzielnych reportaży. Zdarza się na przykład, że ci, którzy istotnie potrzebują pomocy, przewlekle chorują, nie pracują — ci ludzie często nie ujawniają się, wstydzą się swojej biedy. Inni znów natarczywie upominają się o paczki żywnościowe, przy każdym rozdziale są obecni. Czasami, jak w przypadku pewnego małżeństwa, małżonkowie przebijają swoje niewielkie zarobki, i tu pomoc staje się dyskusyjna, ale trzeba jej udzielić, bo — jak powiada pan Władysław — nędza jest tak wielka. Zresztą prostych spraw prawie nie ma. Weźmy sprawę pewnego małżeństwa, które się rozwiodło. Z polecenia sądu dla nieletnich pan Władysław przeprowadzał wywiad o tym małżeństwie i postawił wniosek, by dzieci pozostawić przy matce, a męża obciążyć alimentami. Sąd zasądził alimenty w wysokości 700 zł miesięcznie, co bardzo oburzyło męża i po rozprawie oświadczył wręcz wnioskodawcy, że: „jeszcze się z nim policzy"...

Inny przypadek. Gęsi pewnej starszej wdowy weszły na pole sąsiada, zasiane saradelą. Właściciel pola ukrył się w życie, wypatrzył chwilę, gdy kobieta szła miedzą i dotkliwie ją pobił. Kobieta chorowała ciężko przez kilka tygodni, pan Władysław poszedł do niej i spisał oświadczenie dla milicji, które trafiło potem do akt sądowych. Sprawca napaści przez długi czas odgrażał się panu Władysławowi, w tej sytuacji lepiej było nie wychodzić wieczorem z domu.

No tak — mówię — ale są chyba i inni ludzie, ludzie wdzięczni, do nich na pewno zaliczają się rodzice szkolnych dzieci. Okazuje się, że też nie wszyscy; na przykład ojcowie i matki „dwójkowiczów" z reguły mają pretensje do wychowawcy, choć przez cały rok nie interesują się postępami swego dziecka w nauce. A nie daj Boże zostawić takiego dzieciaka na drugi rok. Jego rodzice staną się natychmiast jawnymi wrogami nauczyciela.

A przecież — powiadam podchwytliwie — nie rezygnuje pan z tej pracy... Pan Władysław obrusza się. Nie, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Wprawdzie żona napomyka czasem o trudnościach gospodarowania na wsi, o tym, że pianino stoi bezużytecznie, bo nie ma kto uczyć córek gry na nim... Że w teatrze bywają z reguły raz w roku — w Dniu Nauczyciela. Ale on nie zgodzi się na przeniesienie do miasta, chce uczyć chłopskie dzieci, bo sam pochodzi z chłopskiej rodziny. Mój rozmówca jest teraz wyraźnie ożywiony. „Za młodu rozczytywałem się w powieściach Żeromskiego, wie pan, oświata dla ludu i te inne rzeczy. Miałem wychowawcę — wielkiego miłośnika literatury, o, to był prawdziwy nauczyciel, chciałbym mu kiedyś dorównać. Myślałem jeszcze o studium zaocznym, chciałem się dalej kształcić, ale cóż, obowiązki domowe, społeczne, zawodowe...".

Żegnam się z gospodynią domu, gospodarz wkłada czapkę, podprowadzi mnie w stronę podmiejskiego tramwaju. Mijamy lasek brzozowy rosnący w samym środku wsi — spoglądam nań z niejakim wzruszeniem, brzozy zawsze wzruszają mieszczucha. Przechodzimy obok gospodarstw chłopskich. mój towarzysz poznał już dobrze wieś, o, to jest gospodarstwo chłopa z Kieleckiego, tu się osiedlił chłop ze wsi podlubelskiej, a tu znów przesiedleńcy ze Wschodu. Dowiaduję się, że do końca wojny wieś była kolonią niemiecką, jakiś dziedzic odprzedał ją po prostu „bauerom". Jej obecna społeczność jest identyczna jak społeczność wsi na Ziemiach Zachodnich. Różni ludzie, różne postawy życiowe, różne poglądy i obyczaje. Dwadzieścia lat nie starczyło, by poczuli się związani ze sobą, choć są związani z tym samym kawałkiem ziemi. Niektórzy są oporni dla samego oporu, nie chcą mieć nic wspólnego z sąsiadami. Od lat ciągnie się sprawa melioracji, teren jest podmokły, ale część gospodarzy odmówiła zgody na drenowanie ich pola: wolą, by plony marnowały się i gniły, niż gdyby — mieli dogadać się ze swymi antagonistami. W jednym są na ogół zgodni: w biernym stosunku do rzeczywistości. Być może, zawinił tu tzw. okres miniony, nie zawsze sprawiedliwa klasyfikacja gruntów, zawyżanie dochodowości gospodarstw, obowiązkowych dostaw i podatków. Trudno im będzie zrozumieć, że teraz są już inne czasy.

Rozstajemy się z panem Władysławem u skrzyżowania dróg. Ale jest to rozstanie pozorne. Idę i ciągle myślę o nim. Dziwny człowiek, ten pan Władysław. Taki na oko powolny, nieruchawy. A tu: działacz oświatowy i kulturalny, działacz społeczny i polityczny, do tego na jakże trudnym terenie. Świadomy, rozumny obywatel. I właściwie kto kogo podciąga w tym małżeństwie? Poważnego ma pani konkurenta w małżeńskim duecie, pani Zofio!

Nie samym chlebem...

Dalszy ciąg ze str. 1

zarysowany był o wiele skromniej. „Młoda poezja polska"? Cóż to w końcu znaczy? Można z tego zrobić książkę telefoniczną z kilkoma przymiotnikami przy nazwiskach: utalentowany, ambitny, interesujący, oryginalny, jak to miało miejsce w Poznaniu, jak to miało miejsce także w roku ubiegłym w Łodzi, gdy Rogoziński posłużył się kawałkiem książki telefonicznej m. stołecznego Warszawy. Tymczasem Kwiatkowski zaprezentował nam zupełnie inną metodę krytyczną, poruszył problemy centralne nie tylko dla poezji młodych ale jak się wydaje dla poezji w ogóle. Wystąpienie jego, jak tego nie omieszkano podnieść w dyskusji, było mocno na „nie". Wiele rzeczy we współczesnej poezji Kwiatkowskiemu się nie podoba i miał to odwagę powiedzieć wprost, za co należy mu się tym większe uznanie. Tym bardziej, że zarzuty zostały uczynione serio, że nie było to minoderyjne i kokietliwe pieszczenie się z tzw. „wnuczętami", którym wiele już przybyło latek, czego ciągle jeszcze nie może dostrzec krytyka warszawska. Referat Kwiatkowskiego zasługuje na jeszcze szersze omówienie, czego jednak nie uczynimy, gdyż czytelnik z najcelniejszymi fragmentami tej pracy będzie się mógł zapoznać bezpośrednio w najbliższym numerze „Odgłosów".

Kolejnym mówcą był Stanisław Brucz. Przyznam się, że temat budzi mój sprzeciw. „Dwa lata w twórczości poetów łódzkich". A cóż to za kryterium? Sprawozdawcze? Wszakże nawet tak dziwnie zakreślony temat był szansą na pokazanie wkładu poetów zamieszkałych w Łodzi do współczesnej poezji polskiej. Tak się jednak nie stało, nie wykorzystaliśmy tej szansy i na jej naprawienie będziemy musieli czekać do następnego festiwalu.

Zanim przejdziemy do odmalowania atmosfery dyskusji, jaka wywiązała się w związku z referatami, a mówiąc uczciwiej obok nich czy nawet poza nimi, trzeba jeszcze wspomnieć dwa głosy, które otworzyły ten II Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi. To, po pierwsze, inauguracyjne przemówienie Ojca Miasta, Edwarda Kaźmierczaka, który w serdecznych słowach powitał zebranych. Przez cały czas trwania zjazdu Ojciec Miasta, co zasługuje na podkreślenie, był życzliwym słuchaczem obrad zyskując sobie sympatię i uznanie uczestników festiwalu. Kiedy musiał opuścić salę w związku z przyjazdem delegacji Bułgarów usprawiedliwił swą nieobecność. Była to doskonała lekcja poglądowa dla innych ośrodków, w których sprawy sztuki nie znajdują tyle zrozumienia, co w naszym mieście.

Drugi głos, to wystąpienie przewodniczącego obrad, Juliana Przybosia, który w prostych słowach określił cele i znaczenie poezji. Mieliśmy później równie piękny głos poety w dyskusji, kiedy wypowiadał się na temat prawdy artystycznej piętnując rozpowszechniony w krytyce przesąd, że w poezji możliwe jest przekładanie porządku moralnego nad porządek estetyczny.

Ważnością swego przemówienia dorównywał Przybosiowi Zbigniew Bieńkowski. Przypomniał on, że poezja to głos osobisty głos pojedynczy i przy jej pomocy możliwe jest jednostkowe przeżywanie sztuki, choć nie jest to oczywiście sprawa łatwa. Poezja jest wielką szansą dla współczesnego człowieka, ponieważ wybrania jednostkę przed unifikacją i anonimatem jaki niesie cywilizacja.

Trzeźwością wystąpienia zdumiał wszystkich nestor poezji polskiej Anatol Stern, kiedy domagał się od dyskusji uściślenia pojęć. Każdy niemal mówca powoływał się już to na Norwida, to znów na Leśmiana, to wreszcie na Różewicza, choć ich twórczość nie jest przecież jednorodna, każdy niemal mówca zasłaniał się magią tych nazwisk jak tarczą zza której nie można było dostrzec jego własnej twarzy, nie można też było usłyszeć jego własnego głosu, chociaż mikrofony i głośniki pracowały bez zarzutu roznosząc po sali basowy głos polemistów walczących niekiedy z wiatrakami.

Sądząc z ilości mówców, którzy wspominali to nazwisko, Tadeusz Różewicz jest najpopularniejszym poetą Polski. Sprawa jego głośnego artykułu, w którym ogłosił śmierć poezji, przypominana była na mównicy i w kuluarach, a nawet w bufecie, gdzie tworzyły się długie kolejki spragnionych jadła i napoju. O Różewiczu właściwie nikt nie mówił zaczepnie, a mimo to Artur Międzyrzecki prawie się podjął jego obrony, jak zawsze w słowach pełnych kurtuazji. Mocniejsze spięcie w pierwszym dniu dyskusji wywołała tylko wypowiedź Kuncewicza, który wygłosił między innymi i ten pogląd, że „awangarda jest odpowiedzialna za istnienie poezji abstrakcyjnej". (W tym momencie siedzący w prezydium Sandauer dobrotliwie poklepał po ramieniu Przybosia). Zarzut jest jednak tak dalece chybiony, że z równym powodzeniem możemy zapytać: dlaczegóż za ten stan rzeczy odpowiadać ma awangarda a nie na przykład cykliści?

Ale całkiem doraźnie i tylko na użytek dyskusji powołany termin „poezja abstrakcyjna" chwycił, powrócił jak echo w jeszcze paru głosach. Pewnie zaczniemy go spotykać na łamach naszych czasopism literackich, które często przykładają większe znaczenie do barwy i dźwięku jakiegoś słowa, niż jego znaczenia. Byłoby wszakże interesujące przeczytać we „Współczesności" polemiki z Sandauerem, nie poniechał Prokopa, a później zaczął już głosić wszystko, co jemu samemu jest wiadomo o poezji. Ciążył na tej wypowiedzi fetysz cywilizacji.

Dwa inne wystąpienia przedstawicieli Hybryd, czy jak kto woli „pokolenia 60" (co jest także chwytliwym terminem) ujawniły rozdarcie naszych młodych, choć jeszcze wcale nie najmłodszych poetów. Gąsiorowski przyznawał, że twórczość jego rówieśników nie ma zbyt jasno wytkniętej drogi rozwojowej, że brak tym młodym programu, co wynika stąd, że młodzi nie posiadają własnego czasopisma. Jerzyna, przeciwnie, nie dostrzegał tych braków. Za pomocą bardzo skomplikowanej aparatury pojęciowej stwierdził mniej więcej tyle, że wszystko jest okej. Wypadło to nawet sympatycznie i pozostalibyśmy przy tym wrażeniu, gdyby nie Ernest Bryll, który jest równie naturalny w tym co pisze, jak w tym, co mówi. Bryll podsumował wypowiedzi młodych bezlitośnie wyławiając wszystkie demony i demiurgów, nadużyte w dyskusji. Postawę młodych z „pokolenia 60" określił jako polski masochizm. Wykpił rozpowszechnioną wśród neopseudoklasyków wszelkiej maści manierę moczenia nóg w basenie Morza Śródziemnego, gdzie poszukują wzorców poezji i wzorców kulturowych. Wykpił też zapewnienia, że tylko przez podobne poszukiwania można w poezji stworzyć panoramę współczesności. Nazwał ją dosyć brzydko, mianowicie panoramą Styki. Jeśli mamy odwoływać się do tradycji, dowodził Bryll, to nie szukajmy jej zbyt daleko. I przypomniał nurt obywatelski w poezji polskiej.

Bezpośredniość, z jaką to wszystko wygłosił, zjednała Bryllowi przyjaciół nawet wśród tych, których wykpił i wyszydził. Było to bezsprzecznie najciekawsze wystąpienie nie tylko ze względu na swą formę, wspaniały polemiczny język, ale także ze względu na to, co Bryll miał do powiedzenia i co młodym, średnim i starym wygarnął.

Nie można także pominąć przemówienia Mariana Piechala, który akcentował wagę treści w poezji urabiając nawet, niezbyt co prawda zgrabny, termin „treściarz" jako przeciwstawienie „słowiarzowi" nikt jednak nie podtrzymał tego polemicznego żaru i utonął wśród innych nieraz denerwująco grzecznych głosów poetów.

Mimo licznych mankamentów dyskusję cechował jednak wysoki poziom, niekiedy ze szkodą dla bezpośredniości wypowiedzi. Nic więc dziwnego, że już w węższym kręgu dyskusje rozbrzmiewały na nowo podczas posiłków w restauracji „Tivoli", gdzie zresztą można się wygadać czekając na kelnerów. Czyżby paraliżowała ich świadomość, że mają do czynienia z poetami? A może po prostu współczesna poezja działa usypiająco na kelnerów? Pozostawiamy wyświetlenie tej sprawy specjalistom od gastronomii. Mamy do zrelacjonowania jeszcze liczne wieczory autorskie uczestników festiwalu, których liczba, jak na jedno miasto, przekroczyła granice rozsądku. Myślę, że spora część tych spotkań mogła się odbyć na Ziemi Łódzkiej, co by zwiększyło zasięg oddziaływania Festiwalu, utrwaliło jego obecność także w tradycjach województwa.

Powiedziałem „zrelacjonuję", a przecież o wieczorach tych ledwie mogę wspomnieć. Bo bardziej szczegółowego omówienia domagają się wyniki trzech konkursów poetyckich, których finał czy nie stanowił najbardziej podniosłego momentu festiwalu? W imieniu jury w składzie: Zbigniew Bieńkowski, Stanisław Brucz, Ernest Bryll, Jan Zygmunt Jakubowski, Artur Międzyrzecki, Marian Piechal, Artur Sandauer, Stefania Skwarczyńska, Ryszard Stefańczyk, Anatol Stern, Janusz Wilhelmi — Julian Przyboś, przewodniczący, ogłosił listę laureatów.

Konkurs A (dla poetów wszystkich pokoleń na nie publikowany utwór poetycki)

II nagroda: Jerzy Lesław Ordan (Toruń)

III nagroda: Zdzisław Wiatr (Wrocław)

III nagroda: Mieczysław Michał Szargan (Łódź)

Konkurs B (na nie publikowany utwór poetycki tych autorów, którzy nie mają jeszcze tomików)

I nagroda: Stanisław Srokowski (Legnica)

I nagroda: Jacek Bierezin (Łódź)

II nagroda: Lutosława Dąbrowska (Warszawa)

II nagroda: Ignacy Gustaw Romanowski (Łódź)

III nagroda: Eleonora Dalin (Kraków)

III nagroda: Stefan Rynkowski (Elbląg)

Konkurs C (na nie publikowany utwór poetycki o tematyce łódzkiej)

III nagroda: Roman Gorzelski (Łódź)

III nagroda: Ignacy Gustaw Romanowski (Łódź)

Zasięg tego konkursu, a ściślej konkursów, był ogromny. Wpłynęło 1750 utworów od 573 poetów. To stwarzało warunki silnej konkurencji. Tym bardziej muszą nas cieszyć wyróżnienia łodzian. Jest to dowodem, że w mieście festiwali poezji Pegaz nie zabawił na krótki popas.

Kilka tygodni temu prowadziliśmy w „Odgłosach" dyskusję na temat potrzeby festiwali poezji w ogóle. Najpełniejszą odpowiedź dał nam sam Festiwal. Jest potrzebny.

KONRAD FREJDLICH

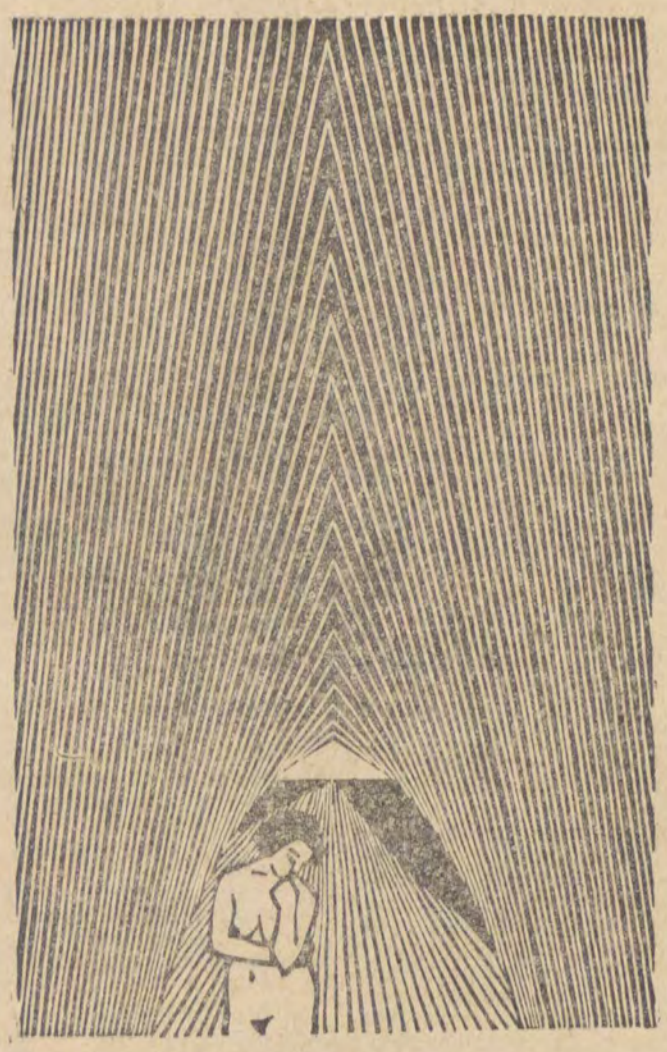

Orest Dubay. 1966.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

WIECZNY KŁOPOT Z TRADYCJĄ

Czy i w jakim stopniu pisarze współcześni korzystają w swej praktyce twórczej z tradycji literackiej? Odpowiedź nie nastręcza chyba kłopotów: Tak, i w takim samym stopniu jak w każdej epoce. Prawidłowość tę da się bez trudu wykazać w dorobku każdego twórcy, bez względu na to, czy zdaje sobie z tego sprawę i odpowie, bądź odpowiedziałby, na tego rodzaju pytanie twierdząco czy też żachnie się dotknięty w swej miłości własnej, albowiem podlega miłemu skądinąd przeświadczeniu, iż pisze utwór, że użyję zwrotu Słowackiego, „do niczego przedtem niepodobny".

Literatura jest ustawicznie rozwijająca się ciągłością. Rewolucje literackie — cel przyświecający większości wstępujących w szranki pisarskie twórców, zwłaszcza znakomitej większości poetów — nie przerywają owej ciągłości. Dokonujący się w szczęśliwym wyniku takich rewolucji, skok literatury do przodu, niekiedy nad wyraz zamaszysty i czyniący wrażenie podchmurnego, jest zawsze skokiem od — do, skokiem względnym.

Metę — „do" określa nie tylko potencja talentu ale i uwarunkowania epoki. „Od" czyli swego rodzaju deska wybicia to zastane zdobycze intelektualno-formalne. Efekt każdego skoku zależy, jak wiadomo, w równie rozstrzygającym stopniu od tzw. warunków skaczącego, jak i od maksymalnego wykorzystania walorów rozbiegu i sprężystości deski wybicia. O ile wiem, dobry skoczek (przedstawiciel specjalności, w której siła głowy odgrywa rolę znacznie skromniejszą niż walory innych części ciała) zazwyczaj posiada świadomość zasług owej bieżni i deski dla swego sukcesu. Pisarz-nowator — czy kandydat na takiego — na ogół nie ceni sobie literatury zastanej, nie zdaje sprawy z jej dobrodziejstw. Całość zasług skłonny jest przypisywać wyłącznie inspiracji i wynalazczości swego talentu (ewentualnie z uwzględnieniem zasług korepetytorskich paru uznanych rówieśników).

Ambitny nowator czasów baroku najprawdopodobniej nie zdawał sobie sprawy, ile zawdzięcza, i ile w nim tkwi z renesansu. Młody Mickiewicz nie pozostawił suchej nitki na klasykach i dopiero po latach, gdy uciszyły się „żywiołów waśnie", stwierdzono, jak dużo skorzystał nie tylko od Niemców i Anglików (też jakby nie było — poetów literatury zastanej) ale i od rodzimych „starców".

Futuryści z wielkim harmiderem ogłaszali, że tworzą literaturę absolutnie pozbawioną podglebia tradycji i podawali się za tabula rasa poezji. Dali tak mocno „paszczoczinu obszczestwiennomu wkusu", że jej zwielokrotnione echo rozlegało się aż do początków lat sześćdziesiątych i wszystkie następne grupy i kierunki poetyckie (w tym starsza i młodsza, ta z Jastrunem, generacja Skamandra licytowały się w wyrażaniu swego wstrętu do wszelkiego modernizmu: secesji, młodopolszczyzny. Tymczasem spojrzenie z perspektywy pozwala bez specjalnego trudu wyśledzić pojawianie się i stopniowe narastanie elementów futurystycznych, ekspresjonistycznych i nadrealistycznych w późnym modernizmie oraz fakt trwałego zaanektowania szeregu jego zdobyczy przez literaturę międzywojennego dwudziestolecia.

Jeśli dowiaduję się (wcale często), że młodzi i rzeczywiście obiecujący poeci na spotkaniach autorskich w szkołach czy w tzw. terenie obwieszczają, że Mickiewicz, Słowacki, wszyscy w czambuł klasycy, a także czynni poeci starszych generacji, nazywani „kościanymi dziadkami" i „wapniakami" — to grafomani czystej wody, zaś prawdziwa poezja zaczyna się właśnie od nich, z uwzględnieniem dwóch modnych w tej generacji poetów anglosaskich i paru stołecznych rówieśników — nie dziwię się i nie gorszę. Mam do czynienia z nieoddzisiejszą prawidłowością. Mogę być co najmniej trochę zły, że w głowach iluś tam słuchaczy zasiany został metlik, bynajmniej zresztą nie długotrwały. Jest to taka sama chyba prawidłowość, jak przejście przez odrę w dzieciństwie. Wielu lekarzy twierdzi, że przechorowanie w tym wieku odry wpływa zbawiennie na rozwój młodego organizmu. Ja odry w dzieciństwie nie przechodziłem, w swoich poglądach na literaturę i znaczenie krzyku mych poetyckich narodzin — także nie.

Czy owo przyjemne, aczkolwiek całkiem iluzyjne przeświadczenie, że się nie ma mistrzów, zwłaszcza mistrzów w osobach praktyków przezwyciężanego kierunku — jest dla dalszego rozwoju twórczego zjawiskiem korzystnym czy ujemnym?

Sprawa jest złożona i nie sposób upierać się przy odpowiedzi definitywnej. Przenoszenie również i w tę sferę rozważań paraboli: skoczek-nowator — byłoby bałamutnym nadużyciem słowa. Nie jesteśmy osiemnastowiecznymi mechanistami i wiemy, że akt twórczy i skok fizyczny to całkiem różne rzeczy. Nie przystaje także do tej kwestii skądinąd budująca sentencja o wyższości wszelkiej wiedzy czy sa-

mowiedzy nad niedowiedzą. Gdyby tak w rzeczywistości było, to najlepsze wiersze i powieści pisaliby profesorowie i doktorzy nauk filologicznych, zaś najgorsze... Mniejsza z tym. Wiadomo, że sprawy ma ja się nader często odwrotnie.

Teoretyczna wiedza filologiczna, a więc i nie opuszczająca pisarza w chwili aktu twórczego pełna świadomość grawitacji tradycji na nowopisane — mogą stać się łatwo ha mulcami. Wiem to z własnych doświadczeń, być może, że dziś już mniej aktualnych. Powodują hamletyzowanie przy poruszeniach pióra, niedobre przerosty samokontroli, fatalną ostrożność. Towarzysząca aktowi twórczemu pamięć o zastanych mistrzach, podobnie jak świadomość obiektywnych uwarunkowań utworu, może sprzyjać fatalnemu poczuciu własnej bezsilności. To wszystko z potencjalnego nowatora może uczynić tradycjonalistę. Proszę zwrócić uwagę na sformułowania: „mogą" — a więc niekoniecznie — muszą.

Ale teraz druga strona medalu. Ograniczoność miejsca, a także niedostatek przemyśleń, nie pozwala na pełniejszą rejestrację niebezpieczeństw dla autora i dzieła, związanych z lekceważeniem zastanej tradycji i obsesyjną pogonią za nowatorstwem za wszelką cenę.

Najważniejszym, przy tym najbardziej dostrzeganym, jest osłabienie — a nierzadko utrata — możliwości porozumienia się autora z czytelni-

BORYS ZEDERMAN

Książka bardzo na czasie

1 września 1939 roku trzy i pół miliona Żydów, stanowiących przeszło dziesięć procent ówczesnej ludności Polski, wkroczyło w drugą wojnę światową. Dzień Zwycięstwa ujrzało na terenie spustoszonego kraju niewiele ponad sześć dziesiąt tysięcy.

Sprawna hitlerowska niszczycielska machina uczyniła z ziem polskich gigantyczne laboratorium śmierci. Po raz pierwszy w dziejach świata rozwinięto przemysł unicestwiania ludzi. Program eksterminacji narodu żydowskiego, pomyślany jako wstęp do „gruntownego oczyszczenia terytoriów na Wschodzie", dopiero w trakcie realizacji poraził wszystkich swą barbarzyńską bezwzględnością i bestialstwem. Dużo wody upłynęło w Wiśle, nim zagranica choćby częściowo uwierzyła w alarmujące wieści, nadchodzące z okupowanego kraju. Nawet w samej Polsce nie od razu przejrzano ostateczne cele polityki nazistowskiej.

A jednak świadomie rozpoczęta akcja wznoszenia muru między „aryjczykami" a „niearyjczykami" (a kryteria tego podziału sięgały aż do antenatów), spaliła na panewce. Mimo zbrodniczych rachub zaborcy, ludność polska — w swej masie — przezwyciężyła kompleksy i antagonizmy dzielące obie grupy narodowościowe i pośpieszyła z pomocą tym, którzy jej potrzebowali.

Przetrwanie „niearyjczyka" w Polsce było sprawą stokroć trudniejszą niż we Francji, czy w krajach skandynawskich. Jak to niejednokrotnie już podkreślano, istniała tylko jedna kara za pomoc dla Żyda — kara śmierci. Pomimo tej groźby, akcja pomocy rozwinęła się na dużą skalę. Obok organizacji podziemnych pośpieszyły z pomocą jednostki nie związane z żadnym ugrupowaniem konspiracyjnym, o poglądach bardzo różnych — od skrajnie prawicowych do postępowych. Powstał front pomocy ludziom „ze swojej ojczyzny".

Trudno jest zarejestrować to, co nieuchwytne, a co określa się mianem humanizmu. Trudno zebrać i zmieścić w jednej książce relacje tych wszystkich, którzy ratowali i tych, których ratowano. „Ten jest z ojczyzny mojej" zbiór autentycznych tekstów, opracowany przez Władysława Bartoszewskiego i Zofię Lewinównę jest taką właśnie ambitną próbą.

Urodzony po wojnie — wychowany w erze małej stabilizacji i big-beatu — czytałem tę książkę jako zbiór wspomnień z „epoki minionej". Schemat prosty: Polak przechowujący Żyda, mimo niebywałych trudności i czyhających na każdym kroku niebezpieczeństw. Ale w tym na pozór prostym i niezłożonym schemacie zawarte są tragedie i przeżycia ludzi szczutych i tych, którym groziła śmierć za pomoc, a mimo to nie wzdragali się jej udzielać.

Oto ksiądz Trzeciak, sztandarowy człowiek polskiego antysemityzmu, znany ze swych wystąpień przeciw „wpływom ducha żydowskiego na naszą polską psychikę", przy tym doskonały znawca Starego Testamentu i Talmudu. Niejedna przedwojenna żydożercza nagonka wywodziła się z jego pseudonaukowych artykułów, wypływała z jego inspiracji. Ten że ksiądz Trzeciak podczas wojny, w obliczu niebezpieczeństwa grożącego dzieciom żydowskim, aprobuje postępowanie siostry, która przeżywa konflikt duchowy przyjąwszy na „aryjskie" papiery dzieci żydowskie, mimo sprzeciwu kilku matek-Polek. Dochodzi do znamiennego dialogu.

— Co grozi tym dziewczynkom katolickim, jeśli siostra nie będzie miała dla nich miejsca? — spytał ksiądz.

— Będą się uczyły w gorszych warunkach, albo może nawet stracą te lata szkolne.

— A tamtym, co grozi, gdyby siostra je stąd usunęła?

— Ksiądz wie — pewna śmierć.

— Więc siostrze nie wolno się tu zastanawiać i wahać, pierwszeństwo tu mają te małe zagrożone Żydóweczki — odpowiedział kapłan.

Nie wolno też zapominać, że katolicka organizacja „Front Odrodzenia Polski" wydała odezwę, w której czytamy: „Kto milczy w obliczu mordu — staje się wspólnikiem mordercy. Kto nie potępia — ten przyzwala." Autorką odezwy była znana pisarka Zofia Kossak-Szczucka.

Lata wojny były zbyt trudnym okresem, a zarazem nastręczały zbyt wiele nęcących okazji dla ludzi wyzutych z sumienia, dla „szmalcowników", dla ludzi, mogących sprzedać człowieka za butelkę gorzały. Również i tego nie wolno ukrywać, gdyż obraz tych lat byłby niepełny.

Tak się dziwnie składało, że ten element, że właśnie ludzie podobnego pokroju byli wysuwani na plan pierwszy przy omawianiu stosunku Polaków do Żydów w latach ostatniej wojny. Wysuwani przez tych, którzy mieli w tym określony cel polityczny.

Hamburski „Stern" rozpoczął druk pamiętników przywódcy młodzieży hitlerowskiej, Baldura von Schiracha, który niedawno opuścił więzienie w Spandau. W jego wspomnieniach znalazł się wielce charakterystyczny passus. Autor zwierza się, że nie może dzisiaj zrozumieć, dlaczego w latach czterdziestych tak nienawidził Żydów.

Nierozumienie jest więc obopólne, albowiem i ja nie mogę pojąć, skąd wśród byłych hitlerowców znalazło się tylu „humanistów a posteriori". Dziwnie to wygląda na tle ostatnich wystąpień neonazistowskich, malowania swastyk na murach bóżnic, niszczenia cmentarzy żydowskich. Dziwnie to się komponuje z wielokrotnymi oświadczeniami rewizjonistycznymi na temat naszej granicy na Odrze i Nysie...

Nakład omawianej przeze mnie książki wynosi zaledwie siedem tysięcy egzemplarzy. Jest to znikoma ilość, jeśli zważyć, że istnieje potrzeba przypominania owych lat, które unicestwiły na ziemiach polskich przeszło sześć milionów ludzi.

HENRYK BEREZA

Nowe spojrzenie

Władysław Rymkiewicz przeszedł długotrwałą szkołę uprawiania beletrystyki na gruncie powieściopisarstwa historycznego, które w Polsce należało do najulubieńszego rodzaju beletrystyki popularnej i stanowiło zresztą najszlachetniejsze jej wydanie. Beletrystyka historyczna była jednak u nas do niedawna czymś całkowicie skonwencjonalizowanym i niejako zdeterminowanym przez model powieści historycznej Kraszewskiego. W dodatku, dla czytelnika, zdeterminowanym nie tylko pod względem formy, lecz także treści. Innym niż modelowe treściom czytelnik potrafiał stawiać opór, wietrząc w nich niemal wyłącznie tendencyjność. W popularnej beletrystyce historycznej trudno było do niedawna nie być programowym tradycjonalistą pod każdym względem.

Istotną różnicę między powieścią „Widok z Księżego Młyna" a niektórymi dawniejszymi powieściami Władysława Rymkiewicza upatrywałbym w tym, że w swej ostatniej powieści Rymkiewicz nie ogranicza się do powielania tradycyjnego modelu powieści popularnej, że jest na jej gruncie prawdziwym nowatorem. Z natury rzeczy nie mogę być takim o jakiego chodzi, odbiorcą powieści popularnej, trudno mi być entuzjastą tego rodzaju twórczości literackiej, muszę jednak przyznać, że „Widok z Księżego Młyna" czytałem z prawdziwą przyjemnością, podziwiając umiejętności literackie i solidną kulturę słowa pisanego u autora, który — podejrzewam — chce uprawiać powieść popularną świadomie i z pełną wiedzą o trudnościach, ale i społecznej godności, tego co robi.

Główną tajemnicą naprawdę wartościowej beletrystyki popularnej polega chyba na tym, że nie można jej uprawiać bez osobistego twórczego zaangażowania. Pod tym względem jest ona jednorodna z autentycznym pisarstwem każdego innego rodzaju. Muszą w niej istnieć treści, które nie są tylko treściami dla innych. Rzecz w tym, żeby własne treści wyrazić w języku beletrystycznym o szerokim społecznie zasięgu. Twórca powieści popularnej jest w sytuacji mówcy, który mówiąc swoje ma ustawicznie na myśli język swoich słuchaczy. Nie wolno mu mówić rzeczy go nie interesujących i nie wolno mu mówić rzeczy go interesujących w języku tylko dla niego zrozumiałym, na czym mogą poprzestawać pisarze tacy jak Kafka czy Joyce, którzy oczekują niejako od słuchaczy nauczania się ich języka. Nie znaczy to, że twórca powieści popularnej musi zrezygnować z ambicji wzbogacenia języka słuchaczy, musi to być jednak wzbogacanie języka znanego, nie zaś nauka całkiem nowego.

Z tych wszystkich trudności wybrnął Władysław Rymkiewicz w swojej powieści w sposób niemal znakomity. Własne treści wypowiada w języku zrozumiałym dla innych i jednocześnie stara się ten język wzbogacić i rozwinąć tak, żeby nie przekroczyć granicy zrozumiałości. Narrator niemal faktograficznej powieści o „buncie łódzkim" z końca ubiegłego wieku nie jest kreacją obojętną autorowi. Wystarczy przeczytać jego rozmowę z działaczem Związku Robotników Polskich Ludwikiem Krasuskim, żeby rozumieć, że toczy się tu wieczna rozmowa intelektualisty z politykiem. Wystarczy śledzić uważnie dramat narratora uwikłanego w trudnej sytuacji społecznej, żeby wiedzieć, że to wiecznie powtarzający się dramat świadomości społecznej i wrażliwości moralnej. W powieść faktograficzno-historyczną wpisał autor zawsze żywe treści ludzkiego doświadczenia. Bez takich zawsze żywych treści egzystencjalno-społecznych nie ma powieści popularnej.

Konieczny warunek zrozumiałości narracji beletrystycznej nie zmusza Rymkiewicza do rezygnacji z prób odnowienia tej narracji. Aż dziw, ile nowych chwytów narracyjnych udaje się autorowi przyswoić dla potrzeb popularnej beletrystyki. To prawda, że monologi wewnętrzne i kolokwialność narracyjną buduje autor bardzo prościutkimi środkami językowymi, ale przecież nie może być inaczej, gdy autorowi zależy na szerokiej społecznie komunikatywności jego utworu. Narracja w powieści Rymkiewicza odbiegła jednak bardzo daleko od form całkowicie skonwencjonalizowanej opisowości. Gdy autor czuje się zmuszony posłużyć tradycyjną i konwencjonalną quasiwypowiedzią postaci powieściowej, od razu sygnalizuje, że dokonał przekładu treści wyrażonych w innej zupełnie formie. „Tak wyrażałby się mniej więcej pogląd małomównego prezesa, gdyby złożyć w całość jego lakoniczne wypowiedzi i słowa, których używał względnie i wstrzemięźliwie, w miarę nieodzownej potrzeby" (s. 18). W tradycyjnej narracji przekład musiałby uchodzić za prawdziwą wypowiedź i autor nie tłumaczyłby się, że jakikolwiek zabieg został dokonany.

Narracja w „Widoku z Księżego Młyna" przy całej prostocie brzmi świeżo i bogato. Prostota wyniknęła z warunku komunikatywności, ale dla kogoś, kto zrozumiałby narrację bardziej skomplikowaną, prostota Rymkiewicza ma urok umiejętnej i celowej artystycznie stylizacji. Na czymś podobnym polega urok lektury dobrej literatury dziecięcej w wieku dojrzałym. Zresztą, powieść popularna tylko wtedy może być naprawdę dobra, jeśli na różnych zasadach może być lekturą dla wszystkich. Dobra beletrystyka popularna musi mieć wiele planów, nie może być jednowarstwowa. Tak właśnie jest w „Widoku z Księżego Młyna".

Jest w tej powieści plan beletrystycznej informacji o historii walki łódzkiego proletariatu z fabrykantami w końcu ubiegłego wieku i jest plan egzystencjalno-społecznego dramatu moralnego, który trudno traktować wyłącznie historycznie. To, co Rymkiewicz potrafi powiedzieć w swojej powieści o motywach alkoholizmu na przykład jest nie mniej głębokie niż to, co wyczytać można w bardzo sławnych utworach. W prostocie narracyjnej utworu zawarł autor wyraźnie aluzje do narracyjnego wyrafinowania, którym się szczyci literatura innego typu. To jest także dowód wieloplanowości tej powieści, tym razem pod względem formalnym. Jednym słowem popularna powieść Rymkiewicza jest bardzo dobrą powieścią i przeczytać ją może każdy, a tak właśnie być powinno.

Władysław Rymkiewicz: „Widok z Księżego Młyna" Łódź 1966, Wydawnictwo Łódzkie, s. 280.

GRANDVILLE

Żarty muzyczne

Marsz turecki

Muzyka religijna

Marsz wojskowy

Rondo Tarantella

Galop

Pastorałka w tonacji D-dur

Walc

Barcarola

---

kiem, co odbiera wysiłkowi pisarskiemu jego wcale zasadniczy sens. Utwór po wyjęciu z szuflady nie jest wyłączną własnością prywatną autora, jest res publica. Lansowane i teraz jeszcze w różnych kostiumach stylistycznych, jak np. modna ostatnio koncepcja „słowiarstwa", hasło: Sztuka dla Sztuki, choć brzmi dumnie i nie poddaje się habliwemu zarzutowi mowy-trawy — jest literalnie rzecz biorąc, założoną bzdurą, ponieważ zawarta jest w nim dehumanizacja sztuki. Zaś liberalniejsze, nie literalne jego pojmowanie jest o tyle nie do przyjęcia, że spycha na margines warstwę utworu, co najmniej równie pierwszoplanową co artystyczną — intelektualno-problemową. O tym mówi się dużo. Często w sposób nie wolny od wulgaryzacji.

Chce się zatrzymać nad inną, dużo rzadziej dostrzeganą, zwłaszcza przez zainteresowanych, konsekwencją zacietrzewionego antytradycjonalizmu, a raczej nader realnym, bo sprawdzającym się w każdej epoce na masową skalę, niebezpieczeństwem tej postawy. Godzi ona (jest w tym swoisty paradoks) również i w wąskie, egoistyczne, choć naturalne i słuszne, interesy każdego ambitnego twórcy. Mam na myśli szansę wybicia się na dłuższą metę i osiągnięcia trwałego uznania, które by w efekcie przyniosło długowieczność utworu.

Pamiętam ze swojej belferskiej przeszłości, jak kiedyś omawiałem z jedną ze starszych klas licealnych dygresje „Beniowskiego". Kiedy doszliśmy do sarkastycznej uwagi z Pieśni III o tym, jak „Oryginalny wieszcz do „Tygodnika" napisał nowy wierszyk, pełny ducha, Który zapewnia mu wieniec osobny, Wiersz do niczego przedtem niepodobny" — prymus klasy rzucił uwagę: Wiersze „do niczego przedtem niepodobne" są za to podobne do siebie jak dwie krople wody. Uważam, że uwaga była kapitalna i o ponadczasowej aktualności.

O cóż chodzi? Jeśli bagaż wiedzy literackiej — czy raczej trudność zrzucania go na czas aktu twórczego — wpływa na tradycjonalność utworu, to z drugiej strony ambicje nowatorstwa za wszelką cenę, nie hamowane krytycyzmem, jaki daje przyswojenie tradycji, a więc kultura literacka, zawęża zasób doświadczeń młodego autora do niewielkiej z natury rzeczy ilości mało zróżnicowanych lektur, uznawanych za ostatnią nowość sezonu. W efekcie powstaje utwór, co prawda ze stemplem nowości, i za taki przyjmowany przez zadowolonego z siebie autora oraz niezgodny chór zachłystujących się i potępiających („Ach ta dzisiejsza poezja! Czytam i nic nie rozumiem! Wariaci!"), — lecz w rzeczy samej równie wtórny. Nowoczesność w tym wypadku znaczy bowiem nie nowatorstwo, lecz zgodność z ostatnią modą. Ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu, jak masowość pojawiania się w określonym czasie utworów analogicznych w treści „wynalazczych" środkach ekspresji, w doborze wziętych, w podwójnym tego słowa znaczeniu, akcesoriów; i jak rychła przemijalność dokładnie w ciągu czasu niezbędnego, by ostatni krzyk mody stał się żenująco niemodny.

Przed kilku laty wydarzyło mi się na moim biurku redakcyjnym, na którym miałem akurat rozłożone wiersze szeregu młodych autorów ubiegających się o debiuty w łódzkiej „Bibliotece Poetów", małe nieszczęście: Leon Gomolicki otworzył okno i wiatr porozrzucał maszynopisy. Ostatecznie po żmudnych studiach porównawczych... czcionek od maszyny — zdołałem ustalić poprawnie, do których autorów należą poszczególne wiersze o ślepcu krążącym z białą laską po świecie wydanym na zagładę. W tamtych latach inwazji do wierszy ślepców z laskami i ryb z apokaliptycznie rozwartym pyskiem (symbolizowały imanentne zło, bezbronność istnień i alienację) do złego nałożyło tonu należało sięganie po „erudycyjne kawałki", jak tematy zapożyczane z wierzeń, mitów, historii kultury (z wyjątkiem postaci Van Gogha, który jako temat snobistycznej liryki zrobił w ostatnim dziesięcioleciu niebywała karierę). Gdyby zdarzył mi się podobny casus przed rokiem, miałbym niemało kłopotu z ustaleniem autorstwa poszczególnych wierszy z udziwnionym Chrystusem i modną Eurydyką w hadesie. Obecnie z wierszami „odkrywającymi" archetypy w których nie sposób się doszukać relików nowocześniejszych niźli pasterska cywilizacja. A przecież ślepcy z mniej więcej taką samą jak poprzednio częstotliwością krążą po ulicach naszych miast i miasteczek, a jaka taka znajomość Pisma Świętego i mitologii przed kilku laty także nie była zjawiskiem specjalnie rzadkim, ...a łaki i ptaki widywane są za miastem też nie od dziś.

Nie noszę tabaczkowego surdutu i mam jeszcze dużo szacunku dla mody np. minispódniczek, o ile ich nosicielki mają coś ciekawego do odkrycia. Ale między prawami literatury sensu stricto i mody (moda i wielostronnie, w tym i formalnie, uwarunkowany styl epoki — to rzeczy zupełnie różne i niewspółmierne) zachodza sprzeczności wynikające z samej istoty, a więc nie do pogodzenia. Podporządkowanie utworu modzie właśnie przekreśla szanse jego przetrwania. Historia literatury odnotuje modę, ale nie oddane jej bez reszty utwory Iksa i Igreka. Uczy ona aż nadto przekonywająco, że żywot niemotyli posiada tylko utwór odmienny od rówieśnych, a żywot mniej więcej matuzalemowy utwór, który poza doskonałością owej artystycznej odmienności wypowiada autora i jego czas na tyle głęboko i celnie, że wypowiedź ta posiada reprezentatywne wartości, przydatne również następnej i dalszym epokom. A z tego nie zdają sobie sprawy autorzy wypracowań literackich, tym różniących się od szkolnych, że są zadane i pisane nie pod gust nauczyciela, ale lansujących mode emokierów. W każdym razie żywotność „sukcesu" jest praktycznie taka sama.

Wniosek ostateczny? I tak źle, i tak niedobrze. Przykro mi, że tyle wywodów i grandiloKwencji, by zaaplikować zainteresowanym środek tak nieekstraordynaryjny i mało ceniony jak „złoty środek". Wydaje mi się jednak, że o ile przed antytradycjonalista za wszelką cenę (w dodatku antytradycjonalistą, dla którego sprawa treści utworu jest bądź wtórna w stosunku do problemów warsztatowych, bądź należącą ściśle do kategorii estetycznych) stoi nader realna perspektywa spiesznego przefruwania z mody na modę jako tresowany motyl, to pisarz zżyty z tradycja literacką może, jeśli mu talent pozwoli nauczyć się trudnej umiejętności zrzucania swoich obciążeń i ośmielić pióro. Ponadpokoleniowy zasób jego doświadczeń też może się twórczo przydać. Znajomość i operowanie większą ilością ingrediencji raczej, jak wiadomo, sprzyja powstawaniu nowych jakości, również i smakowych.

MARIA KORNATOWSKA

LIST z Krakowa

CZCIGODNY PANIE REDAKTORZE!

W oparciu o delegację służbową nr 1159 jestem w Krakowie na VII Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. Najpierw może parę słów o Krakowie. Kraków jest piękny, Panie Redaktorze, w słońcu, w deszczu, rano i o zachodzie słońca, a zwłaszcza nocą, kiedy usypiają chuligani i czcigodne matrony, a czuwa jedynie trębacz z wieży Mariackiej, choć wiadomo, że kto jak kto, ale Tatarzy nigdy się już więcej nie pojawią. W Krakowie, najwięcej pieniędzy pochłaniają antykwariaty i kawiarnie (zwracam Panu na to uwagę ze względu na ewentualna wysokość diety). W antykwariatach ma sa cudowności. Nie brak nawet dzieł z zakresu chiromancyi indyjskiej i astrologii (polecam Panu jako nieodzowna pomoc w sterowaniu redakcja pośród burz i mielizn terenowych) tudzież najbardziej po „Odgłosach" frapującego czasopisma czyli „Planete" — miesięcznika poświęconego sprawom dziwnym a gołym okiem niedostrzegalnym. W kawiarniach — dużo nastroju i masa przepysznych ciastek, kremów, lodów, coctailów. Nie ma za to gustownej metaloplastyki oraz napojów firmowych. Ponadto w Krakowie jest bardzo dużo golębi oraz turystów krajowych a zwłaszcza zagranicznych, co nadaje miastu europejski charakter. Kraków jest miastem tak dostojnym że aż niepoważnym i tak przepełnionym różnorakimi tradycjami, że wszystko w nim od razu staje się tradycja. Dlatego Festiwal też już należy do tradycji. Tradycyjna jest znakomita organizacja. Do tradycji należy też oglądanie filmów (na szczęście są krótkie) i narzekanie na ich poziom. Donoszę, Panie Redaktorze, że zdaniem wszystkich zainteresowanych znów przeżywamy kryzys filmów krótkometrażowych. Nasz ustrój, jak widać kompensuje brak kryzysów ekonomicznych rozlicznymi kryzysami sztuki i jej twórców.

Na spotkaniach prasy z twórcami, które odbywają się w malowniczej piwnicy „Krzysztoforów" krytycy biadają nad poziomem filmów a realizatorzy nad poziomem krytyki. W ten sposób wytwarza się atmosfera wzajemnego zrozumienia i serdeczności, krzepiona w trakcie kontaktów kuluarowych. Naczelna dewiza naszej nacji było wszak zawsze głęboko humanistyczne hasło „kochajmy się".

Filmy festiwalowe reprezentuja produkcje Wytwórni parających się krótkimi formami oraz 3 ZRF. Bogaty zestaw przedstawiły łódzkie wytwórnie WFO i Semafor. Z filmów WFO najbardziej mi się podobały „Czynności serca" J. Arkusza (nie z tych rzeczy, o których Pan myśli, Panie Redaktorze, to film naukowy, b. precyzyjny rzeczowy i świetnie pod względem technicznym zrealizowany) oraz „Pałace Ziemi Obiecanej" L. Skrzydło — znakomity przykład tego jak zręczna realizacja inteligentny pomysł plus Kazimierz Rudzki potrafią z niczego stworzyć coś. Z filmów „Semafora" chciałabym Panu zwrócić uwagę na zabawna interpretację niemniej zabawnej Zielonej Gesi w wykonaniu J. Kotowskiego („Miłość, zazdrość nietolerancja") i debiut — ale jaki! czyli „Wszystko jest liczba" Stefana Schabenbecka — filmik kontynuujący najlepsze nasze tradycje w dziedzinie animacji. Gwoli pełnego usatysfakcjonowania Pana patriotycznej dumy, dodam iż zarówno Schabenbeck jak i Irena Kamieńska, laureatka Grand Prix są świeżo upieczonymi dyplomantami ukochanej przez wszystkich łodzian, a zwłaszcza łodzianki PWSTiF. Podczas rozdawania nagród gwoli historycznej ścisłości laureatka wygladała uroczo w welurowej sukience koloru oliwkowego. Zamknięcie krajowego Festiwalu było b. uroczyste a zarazem ładne i krótkie. Przewodniczący jury Tadeusz Konwicki odczytał werdykt głosem drżącym z przejęcia. I nie wiem, czy to wzruszenie czy typowo warszawska niechęć do centusiów sprawiły iż z ust jego padły słowa iż laureaci otrzymali ex aequo złotego lajkonika i 15 złotych. Radość licznie zebranej publiczności była nieopisana. Ale dostojny juror nie sprostował pomyłki. A może to nie była wcale pomyłka i w ramach akcji oszczędnościowej zredukowano nagrodę do wysokości 15 zł. Co komu po forsie jak dostał złotego lajkonika?

A propos nagród, największa sensację wzbudziło przyznanie filmowi „Wola Rafałowska" nagrody krytyki filmowej. Zdaje się, że jury Klubu Krytyki chciało dobitnie zamanifestować w ten sposób swój absolutny nonkonformizm i niezależność sądów, przyznając miano najlepszego, jednemu z najsłabszych filmów Festiwalu. Okazuje się, że nieodgadnione wyroki są nie tylko specjalnością Opatrzności. Największe i najbardziej zasłużone owacje wywołał natomiast „Sekretarz" Jaworskiego, wielokrotnie oklaskiwany w trakcie projekcji. Był to, moim zdaniem, najlepszy film Festiwalu. Radzę się Panu natomiast zastanowić nad ufundowaniem przez „Odgłosy" nagrody dla najgorszego filmu lub realizatora. Konkurencja będzie silna, ale mamy już murowanych faworytów. Ja, osobiście, o ile Pan Redaktor odpowiednio podwyższy mi gaże oczywiście, nagrodziłabym trzy niesłusznie pominięte przez jury filmy: wspomniane już „Czynności serca" Arkusza, świetny dokument Marzyńskiego „Być" i b. dowcipny, finezyjny „Papieros" Zitzmana. Po oficjalnym zamknięciu festiwalu odbył się huczny coctail w salach pawilonu wystawowego na Placu Szczepańskim. Zjawiło się mnóstwo znakomitości i osób towarzyszących. Obecnością swą zaszczycił Kraków i festiwal nawet sam Mitchell Kowal, traktowany przez wszystkich z należytym szacunkiem jako rodak z zagranicy.

Kowal ma tę przewagę nad innymi zagranicznymi rodakami że słabo włada ojczystym językiem i zamiast Michał zowie się Mitchell. Nadto nikt go nie pamięta sprzed wojny. A absolutna nieznajomość jego działalności na niwie sztuki filmowej (poza przekonywająca kreacja w „Jadą goście jadą") przyczynia się tylko do umocnienia jego pozycji towarzyskiej. Ze zrozumiałych tedy względów znacznie więcej uwagi poświęcano Kowalowi niż obecnemu także Kawalerowiczowi. Co do strojów — to wśród Polek dominowały koszulki i kwiatki, delegacja radziecka wybrała op-art. Co do mężczyzn — to w bezwzględnej tajemnicy powiem Panu że był tam także obecny piosenkarz krakowskiej Piwnicy „Pod Baranami" Mieczysław Święcicki. Pan mnie rozumie? Najbardziej malownicza postacią krakowskiej imprezy jest chyba juror międzynarodowego festiwalu, francuski rzeźbiarz — Cesar. Wygląda kropka w kropkę tak jak sadzac z powieści i filmów winien wyglądać przedstawiciel autentycznej bohemy.

Teraz czeka nas jeszcze festiwal Międzynarodowy. Kończę więc Panie Redaktorze z należytym szacunkiem i niestety, bez fiołka.

P.S. A pisałam ten list z Krakowa, na serwetkach w Jamie Michalikowej, najpiękniejszej kawiarni naszego obozu.

Akt. Jaromir Fiala

SPEKTAKLE tygodnia

Teatr

NOWY

„Śluby panieńskie",	3 spekt. 1800 —	85%
„Pan Drops i jego trupa",	1 spekt. 600 —	90%

NOWY (Mała Sala)

„Szklana menażeria",	5 spekt. 900 —	90%

POWSZECHNY

„Mocne uderzenie",	2 spekt. 1000 —	85%
„Tajemnica starej wierzby",	2 spekt. 1360 —	100%

JARACZA (w lokalu ROZMAITOSCI)

„Mój biedny Marik",	5 spekt. 3165 —	100%

7.15

„W czepku urodzona",	1 spekt. 421 —	100%
„Paryżanin",	4 spekt. 1684 —	100%

TEATR WIELKI

„Straszny Dwór",	2 spekt. 2552 —	100%
„Rigoletto",	2 spekt. 2552 —	100%
„Carmen",	2 spekt. 2552 —	100%

OPERETKA

„Fantastyczny rejs",	6 spekt. 3863 —	57%

FILHARMONIA

2 koncerty symfoniczne	650 słuchaczy	45%

POLONICA

KAZIMIERZ DEJMEK portret polskiego reżysera

W hamburskim dzienniku „Die Welt" (z 30 maja br.) ukazał się szkic pod powyższym tytułem, który podajemy w polskim przekładzie w całości

„Jego inscenizacja „Rewizora" utrzymuje się już ponad rok na scenie w Essen i jest wciąż tak samo świeża jak pierwszego wieczoru. Dejmek mógł się o tym przekonać sam, gdy znów powrócił, aby po raz drugi inscenizować sztukę teatralną w Essen. Tym razem była to niemiecka prapremiera „Ciemności kryją ziemię", według powieści pod tym samym tytułem Jerzego Andrzejewskiego. Powieść o Inkwizycji, której akcja rozgrywa się w Hiszpanii XV wieku, a Torquemada jest jej głównym bohaterem. Dejmek sam przerobił na scenę, koncentrując się całkowicie na procesie duchowego zniewolenia manipulowanej świadomości. Premiera odbędzie się 31 maja w Opernhaus w Essen. Przed dziesięciu laty Dejmek wystawił „Ciemności" w łódzkim Teatrze Nowym i uzyskał — podobnie jak z „Łaźnią" Majakowskiego — wielki sukces, któremu to sukcesowi zawdzięcza ten trzydziestodwuletni wówczas reżyser powołanie do Warszawy na stanowisko dyrektora bogatego w tradycje Teatru Narodowego. Obok Erwina Axera, Kazimierz Dejmek jest dzisiaj jedna z najbardziej interesujących i oryginalnych osobowości reżyserskich polskiego teatru. Chociaż obaj — Axer i Dejmek — byli uczniami wielkiego i wybitnego polskiego reformatora teatru, Leona Schillera, to w istocie są jego antypodami. W 1949 r. powstał w Łodzi Teatr Nowy, a Kazimierz Dejmek jako jego młody dyrektor, wyrobił sobie pozycję zarówno przez swój odważny, aktualny plan repertuarowy jak i dzięki skutecznemu wskrzeszeniu starego polskiego dramatu. Dejmek wystawił Majakowskiego i Dürrenmatta, Szekspira i Bogusławskiego, „ojca polskiej sceny narodowej"; przeszukiwał archiwa teatralne i obudził średniowieczne misteria do nowego życia. Synteza tradycji i „teatru walczącego", estetycznej wizji i aktualnego zaangażowania, do której dążył Leon Schiller, stała się błyskotliwym dziełem Kazimierza Dejmka.

Ze swoim zespołem, złożonym z 80 aktorów, wystawia on w ciągu sezonu najwyżej cztery pozycje. To umożliwia mu intensywną i długoterminową pracę. W planie repertuarowym ostatnich lat znajdują się dzieła Arystofanesa, Eurypidesa, Szekspira, Kleista („Książę Homburgu"), Brechta, Dürrenmatta, Hochhutha („Namiestnik" stał się ogromnym sukcesem) obok polskich autorów, jak Andrzejewski, Wyspiański, Fredro, Witkiewicz, Różewicz i inni. Szczególny sukces, przede wszystkim za granicą, osiągnął Dejmek niedawno „Żywotem Józefa", utworem o temacie biblijnym z XVI wieku.

W świecie teatralnym stał się Dejmek sławny dzięki staropolskiemu misterium „Historyja o chwalebnym zmartwychwstaniu" które opracował i przy pomocy środków nowoczesnego teatru uczynił żywotnym widowiskiem współczesnym. Misterium tym rozpoczął Dejmek swoją pracę w warszawskim Teatrze Narodowym i wprawił nim w prawdziwy zachwyt nie tylko publiczność swojego kraju, lecz także publiczność Paryża i Moskwy, Wiednia i Pragi Wenecji i Amsterdamu. Wkrótce pojedzie on ze „Zmartwychwstaniem" na festiwal londyński w Old Vic".

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Film „WZGÓRZE" w reżyserii Sidneya Lumeta dotarł na nasze ekrany, gdy opadła już temperatura gwałtownych dyskusji, jakie wywołał zwłaszcza w samej Anglii. Amerykanin S. Lumet obraził armię brytyjską — taka była opinia większości wypowiadających się Anglików. Poza granicami W. Brytanii film przyjęto zupełnie inaczej. Dla nas osadzenie akcji w obozie karnym armii brytyjskiej nie ma żadnego znaczenia, liczy się sprawa — problem i racje autorów filmu. Lumet o swym filmie powiedział: „Te przerażająca prawde należało, moim zdaniem, przekazać". Komu? Na pewno nie tylko Brytyjczykom. Jaka to prawda, o czym?

„Wzgórze" to film o władzy i o strachu, o dyscyplinie i posłuszeństwie, o słuszności kary i formach jej realizowania. To film o wojsku, o systemie, ale przede wszystkim film o ludziach. Bohaterowie filmu mówia: „Za dużo w tym wojsku głupich rozkazów... Bez rozkazów nie ma wojska". Odwieczny dylemat narzuconego nadrzędnego dobra ogólnej sprawy i prawa jednostki do własnych decyzji i wyboru. Odwieczny problem odpowiedzialności tych, którym w ręce oddana została władza, którzy ją reprezentuja. Nie ułatwili sobie twórcy filmu drogi przeprowadzenia wywodu, wybierając jako miejsce, w którym ludzie mają o tych sprawach rozstrzygać, obóz karny dla dezerterów, dekowników i złodziejów z czasów wielkiej światowej wojny. Konfrontacja tych wyrzuconych poza margines ludzi z tymi, którzy realizują wyrok sprawiedliwości prowadzi do dramatycznych spięć, nadających filmowi niezwykle przejmującą wymowę. Ci „sprawiedliwi" to też tchórze, sadyści, pijacy, tyle, że jeszcze na górze, tyle że z regulaminem wojskowym w ręku i z dana im władza. Rachunki moralne po obu stronach się zgadzają, po obu są źli i dobrzy, słabi i mocni.

Na plan pierwszy wysuwa się w filmie konflikt między sierżantem, który reprezentuje sprawiedliwość i władzę i sierżantem, którego prawo wojskowe posłało na pokutę do owego obozu kary. Obaj, zarówno dozorca (Harry Andrews) jak i więzień (Sean Connery) są zawodowymi żołnierzami, a regulamin wojskowy jest ich Biblią. Zdegradowany za nieposłuchanie w jego przekonaniu nonsensownego rozkazu, sierżant Roberts zaczyna dostrzegać poza literą regulaminu wojskowego ludzi, cała złożoność spraw tych, którym wojsko zabiera często elementarne prawo dochodzenia swych racji i praw. Pierwszy, podświadomy impuls, który go skłonił do buntu przeradza się w obozie najpierw w zwykła nienawiść do policjanta, później świadomy bunt przeciw nieludzkości nie tyle już regulaminu, lecz tych, którzy są jego wykonawcami. Roberts to człowiek, który zbuntował się przeciw systemowi, który go stworzył i ukształtował jego psychikę i jego losy. W tym tkwi tragizm tej postaci i siła jej wymowy. Roberts ludzką godność dla siebie i swych kolegów zdobył, wyzbywając się lęku, jego odwaga dezorganizuje ten zamknięty świat, w którym rządzi jedynie strach. Boją się wszyscy; i ci, którym dana jest władza (mogą ją łatwo stracić), i ci, którzy nie mają innego wyboru. Strach jest źródłem władzy. W tym stwierdzeniu autorów filmu tkwi największe oskarżenie systemu, którego twórcami są sami ludzie.

„Wzgórze" spotkało się z zarzutami, że temat filmu wymagał innej postawy twórców — bardziej racjonalistycznej, mniej emocjonalnej. Znamy Lumeta jako racjonaliste („Dwunastu gniewnych ludzi"), w tym filmie poniosła go pasja, która nadała filmowi atmosferę daleka od chłodnej relacji i próby apelowania wyłącznie do intelektu odbiorców. Nie tylko temat o tym zadecydował, lecz cały klimat miejsca, w którym rozgrywa się tragedia. W obozie panuje zgodnie z przepisami zorganizowany porządek. Wyraża się on nawet w pewnych regularnych geometrycznych układach zabudowań, centralnego położenia usypanego rękami więźniów „wzgórza" i grup ludzkich ćwiczących i biegających na komendę. Sylwetki strażników wyznaczają granice między światem „prawych" i „wyklętych". Wyczuwamy jednak zaklętą, nie wyzwoloną atmosferę wzburzenia, a nawet szaleństwa, klimat, który zawsze tworzony jest przez brutalną siłę i ludzki strach. Kamera pozostając w nieustannym ruchu, wydobywa wszystkie sekrety obozowej rzeczywistości. Bezlitośnie rejestruje ludzkie postacie i twarze. Te twarze, często wręcz zdeformowane przez oko kamery, mówią nam o ludziach bardzo wiele. Aktorów w tym filmie nie sposób wyróżniać, są znakomici.

W moim najbardziej osobistym odczuciu film Lumeta dostarcza doskonałego przykładu dążenia artysty do znalezienia najwłaściwszej formy istnienia treści.

Ewa Syrzyńska

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Blondie mówi przez telefon przyjaciółce, że korzystając z dobrego humoru męża, Dagoberta, chce go prosić o futro. Po reakcji Dagoberta na jej prośbę, Blondie informuje przyjaciółkę: „Nie dał mi definitywnej odpowiedzi".

Historyjka bez słów.

COMISCY

☐ Ostatnio we Francji ukazała się antologia pt. „Les Chefs-d'oeuvre de la bande dessinee" (Arcydzieła comicsów). Książka zawiera rysunki i informacje o comicsach z okresu ostatnich stu lat. Autorami antologii są Jacques Sternberg, Michel Caen i Jacques Lob. Ambicja autorów było pokazanie wszystkiego, co w dziedzinie comicsów zdarzyło się interesującego na przestrzeni wieku.

Od blisko pięciu lat zaznacza się coraz większy wzrost zainteresowania zagadnieniem comicsów. I tak np. w zeszłym roku, w lutym we Włoszech w Bordighera odbył się pod patronatem ministra szkolnictwa, I Kongres i Miedzynarodowa Wystawa Comicsów. Do Bordighera przybyło ok. 100 socjologów, liczni miłośnicy historyjek obrazkowych i ich autorzy.

Blisko dwa miesiące temu wystawa comicsów odbyła się w Paryżu, a w zeszłym roku z końcem czerwca poważne pismo francuskie poświęcone zagadnieniom sztuki i literatury „Les Letires Francaises" wychodzące pod kierownictwem Aragona, poświęciło prawie cały dość obszerny numer zagadnieniom comicsu.

Tak więc sprawa historyjek obrazkowych, zdawałoby się całkiem marginesowa, urasta do ważnego problemu, zajmują się nią socjologowie, psychologowie i badacze sztuki. Jak popularne są comicsy świadczy np. fakt, że jedna z bohaterek historyjek obrazkowych w Ameryce, Blondie, (zresztą sympatyczna) cieszy się popularnością 40 milionów odbiorców, a comicsy w których występuje eksportowane są za granicę w ilościach idących w setki milionów egzemplarzy. We Francji dla dzieci w każdym miesiącu drukuje się 26 milionów egzemplarzy historyjek obrazkowych. Czytelnicy niektórych pism, jak np. „l'Humanite" czy „l'Humanite Dimanche" znajdują w każdym numerze obrazkową historyjkę z ulubionym bardzo zabawnym i sympatycznym pieskiem, który zwie się „Pif".

Comicsy stały się przedmiotem wielu rozpraw i traktatów. Historycy comicsów dopatrują się ich początków w historyjkach obrazkowych rysowanych jeszcze w starożytności. M. in. powołują się na sceny umieszczane na greckich wazach. W średniowieczu i na początku czasów nowożytnych rysowano krótkie sceny obrazkowe składające się zazwyczaj z 4, 6 lub 8 obrazków. Tematyka była różna: ważne wydarzenia historyczne, opowieści bohaterskie, sceny religijne hagiograficzne itp. Podobne historyjki obrazkowe znajdujemy na starych gobelinach i innych wytworach tkactwa artystycznego (głównie wiek XII).

Charakterystyczne jest — jak to stwierdzają badacze — że miłośnikami comicsów są najczęściej ludzie w wieku lat 40 do 45. Psychologowie tłumaczą ten fakt tym, że ludzie ci w swym dzieciństwie fascynowali się wydawanymi wówczas dla dzieci historyjkami obrazkowymi. I tak np. ukazywało się wtedy pisemko z disneyowską myszką Mickey. Na zarzuty przeciwników, którzy twierdzą, że tego rodzaju historyjki obrazkowe są szerzeniem złego smaku, podniecaniem złych instynktów, wulgaryzowaniem literatury i sztuki, miłośnicy comicsów odpowiadają, że z podobnymi zarzutami spotkał się w swych początkach film, a jeszcze wcześniej niemal dosłownie to samo mówiono o wynalazku druku. Tak więc jak film, jak druk, tak i comicsy mogą szerzyć zarówno idee złe i wsteczne, jak też postępowe i humanitarne.

Co byśmy jednak nie powiedzieli o comicsach, trzeba je dziś już uznać za jeden z przejawów naszej cywilizacji, którego lekceważyć nie można.

ZMARŁ G. W. PABST

☐ W wieku lat 72 zmarł w Wiedniu G. W. Pabst, jeden z wybitnych filmowców, który obok Fritza Langa i Sternberga położył znaczne zasługi dla rozwoju niemieckiej kinematografii i zaznaczył się wybitnie w historii filmu.

Pabst, urodzony w Wiedniu, rozpoczął swą karierę zawodową jako aktor, występując na scenach Szwajcarii i Austrii. W roku 1925 zdobywa uznanie i rozgłos swym filmem „Ulica bez radości", w którym debiutowała Greta Garbo, i dla którego scenariusz napisał I. Frenburg. Pabst zrealizował m. in. „Opera za trzy grosze" według Bertolta Brechta, „Atlantyde" (filmował we Francji) z Brigitte Helm (1932), „Don Kichota" w którym wystąpił Chaliapin. Pabst pracował też w Ameryce. Po wojnie na krecił kilka filmów w Niemczech, Włoszech i Austrii m. in. „Proces" według powieści Kafki pod tym samym tytułem oraz „Koniec Hitlera".

KSIĄŻKA GILA DELAMARE'A

☐ Rok temu pisaliśmy o śmierci Gila Delamare'a, który zginął tragicznie w czasie pełnienia swego trudnego zawodu kaskadera. (O pracy francuskich kaskaderów pisaliśmy kilka miesięcy temu).

Gil Delamare, jak wspominaliśmy, nagrał przed swą śmiercią na taśmę magnetofonową opowieść o swej pracy dublera filmowego i o tym jak przygotowywał się do każdej z niebezpiecznych scen, w których zastępował aktora występującego w filmie.

Książka ukazała się w Paryżu pt. „Le Risque est mon metier" (Ryzyko jest moim zawodem).

Gil Delamare w początkach swej kariery kaskadera wyspecjalizował się w upadkach z konia. Dublował wówczas takich aktorów jak Fernand Gravey czy Jean Marais. W 1948 Gil założył klub „Casse-cou", „Łamikarków" choć nigdy nie był z tej nazwy zadowolony. Uważał, że kaskader nie powinien być wbrew pozorom, ryzykantem i to tak należy przemyśleć i przygotować niebezpieczną scenę, aby ryzyko utraty zdrowia czy życia sprowadzić do minimum. W pracy kaskadera, twierdził, nie są niezbędne szaleńcza odwaga i bohaterstwo. Potrzebne są natomiast w wysokim stopniu rozwaga i przezorność. Toteż sceny w których miał występować przygotowywał z niezwykłą starannością. Przed sceną kraksy samochodowej, w której miał wziąć udział, badał najdokładniej teren, wzniesienia i pagórki, badał reakcje samochodu w określonych sytuacjach, interesował się ponadto w którym miejscu będzie stała kamera i czy będzie mogła sfilmować najefektowniejsze momenty sceny wypadku.

Mimo rozwagi, ostrożności, ogromnej sprawności fizycznej i szybkości orientacji Gil Delamare nie uniknął jednak śmierci. Zginął pracując dla filmu w dniu 31 maja 1966 roku jadąc w otwartym wozie i odgrywając scenę kraksy samochodu. Na taśmie na którą dyktował przed śmiercią, znalazło się zdanie, będące jakby przeczuciem: „Okropnie się boję odkrytych wozów, nie posiadają one dostatecznej stabilności".

Gil Delamare

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Z prawdziwym niepokojem oczekujemy w redagowanym pod Pana kierownictwem piśmie sprawozdań z Kaliskich Spotkań Teatralnych. Nie posądzając Autorów o złą wolę, stwierdzić jednak musimy wyraźny brak rzetelnej informacji, dziwne, że już po raz drugi łączący się z wysoce krzywdzącym nas sądem. W ubiegłym roku z podsumowania dra Kaszyńskiego dowiedzieliśmy się o przykrych zajściach, mających rzekomo miejsce po przedstawieniu „Caligula"; insynuacja ta nie tylko absolutnie nie odpowiadała prawdzie, ale w efekcie znacznie zmniejszyła w oczach czytelników ogromny sukces, jakim było zdobycie dla naszego Teatru pięciu nagród, w tym trzech pierwszych.

Tegoroczne Spotkania Kaliskie relacjonuje p. Roman Loboda, w którego życzliwość dla teatrów łódzkich nie wątpimy. Nie zamierzamy tu polemizować z wieloma ogólnymi uwagami Autora, z którymi absolutnie nie możemy się zgodzić, mamy jednak prawo oczekiwać od sprawozdawcy jedynego w naszym mieście tygodnika kulturalno-społecznego sprawdzonej informacji o ostatecznych decyzjach jury, o tak wyjątkowo w tym roku ograniczonych ilościowo, a więc tym cenniejszych nagrodach. Ponieważ obawiamy się, że redakcja nie dysponuje pełnym werdyktem jury VII Kaliskich Spotkań Teatralnych pozwalamy sobie przesłać w załączeniu jego odpis, z którego jasno wynika, że jury przyznało w tym roku tylko trzy nagrody, w tym jedną aktorską. Tę jedną, jedyną (a nie — wyróżnienie) w konkurencji 11 przedstawień, z 8 teatrów otrzymał za rolę Sędziego Azdaka — w „Kaukaskim kole kredowym" B. Brechta — aktor naszego teatru JÓZEF ZBIRÓG.

Poza tym ani słowem nie wspomina p. Loboda o innej, bardzo cennej dla nas — Nagrodzie Teatralnej m. Kalisza, jaką otrzymaliśmy z okazji tegorocznych Spotkań, a która jest dla nas potwierdzeniem sympatii, nieosiągalnej chyba w wypadku pozostawienia po sobie — złych wspomnień.

— FELIKS ŻUKOWSKI
Dyrektor Państw. Teatru im. St. Jaracza

KOMUNIKAT JURY VII KALISKICH SPOTKAŃ TEATRALNYCH

Jury VII Kaliskich Spotkań Teatralnych w składzie: Jerzy Grotowski — przewodniczący, Maria Czanerle, Andrzej Hausbrandt, Stanisław Kaszyński, Jerzy Sokołowski i Bohdan Adamczak — sekretarz, przyjmując jako zasadę kwalifikacyjną nagradzania jedynie wybitnych zjawisk sztuki teatralnej postanowiło na końcowym posiedzeniu w dniu 9 maja 1967 r. przyznać jednomyślnie następujące nagrody:

GRAND PRIX

VII Kaliskich Spotkań Teatralnych Henrykowi Tomaszewskiemu za przedstawienie „Męczeństwo i śmierć J. P. Marata" Petera Weissa w Teatrze Polskim w Poznaniu.

Nagroda reżyserska

VII KST dla — Andrzeja Witkowskiego za przedstawienie sztuki Tymoteusza Karpowicza „Zielone rękawice" w Teatrze Rozmaitości we Wrocławiu.

Nagroda aktorska

VII KST dla Józefa Zbiróga z Teatru im. Jaracza z Łodzi za rolę Azdaka w sztuce Bertolta Brechta „Kaukaskie koło kredowe".

Ponadto przyznano wyróżnienia:

Nagroda Wielkp. Tow. Kulturalnego dla Bronisławy Frejtażanki z Teatru Polskiego w Poznaniu za rolę Hekuby w sztuce Eurypidesa — Sartre'a „Trojanki".

Nagroda Woj. Komisji Zw. Zawodow. w Poznaniu dla Jadwigi Hodorskiej z Teatru im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie za rolę Matki Courage w sztuce Bertolta Brechta.

Nagroda SPATiF dla młodego aktora dla — Haliny Kowalskiej-Nowak za rolę Julii w przedstawieniu „Romeo i Julia" Williama Szekspira w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu.

Nagrodę teatralną m. Kalisza przyznawaną poza werdyktem jury Kaliskich Spotkań Teatralnych otrzymał Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Rejs za mało fantastyczny

Nie lubię długów wdzięczności. Ponieważ programy Teatru Muzycznego cytują fragmenty moich recenzji, ja w ramach rewanżu czuję się w obowiązku cytować fragmenty programów. Więc zacytuję i dziś:

„Siła libretta leży w ciągłym zaskakiwaniu widowni, w pomysłach z kręgu niemalże absurdalnego humoru, w spiętrzeniu gagów, w fantastycznym tempie, o które musi zadbać reżyser, jeśli chce aby widownia bawiła się prawdziwie dobrze."

Mowa o ostatniej premierze Teatru Muzycznego — „Fantastycznym rejsie" Cole Portera, który raczej powinien nazywać się „Zwariowanym rejsem", co byłoby bardziej zgodne z duchem libretta jako, że z tytułem oryginalnym („Anything goes") i tak zgodne nie jest. Ale to na marginesie. Opierając się na innych fragmentach poprzednich, a także ostatniego programu, można wnioskować, że teatr uważa wystawienie komedii Cole Portera za ryzyko kasowe. „Kiss me Kate" sprzed dziewięciu lat nie zrobiła w Łodzi kariery, nie przypadła do gustu publiczności, byłabym skłonna przypuszczać, że łodzianie nie znali jeszcze drogi do nowego, nie wykończonego wówczas budynku przy ul. Północnej. „Can—can" sprzed czterech lat miał powodzenie, ale nie takie jak w Stanach Zjednoczonych. Między wierszami można wyczytać, że „Fantastyczny rejs" jest ostatnią próbą („do trzech razy sztuka") konfrontacji łódzkiej publiczności z amerykańskim autorem.

Nie wiem jak wypadnie ta konfrontacja, niezbadane są czasem gusty publiczności. Przedstawienie jest starannie przygotowane, barwne, na prywatny użytek panie znajdą w nim kilka modeli sukienek, które warto skopiować, panowie zaś kilka modeli bez sukienek, których wprawdzie skopiować się nie da, ale przyjemnie popatrzeć. Są popularni, dobrze znani publiczności łódzkiej wykonawcy: K. Nyc—Wronko, D. Łopatówna, K. Jarmułówna, St. Kowalczykówna, L. Szczęch, J. Duński, T. Woźniakowski, E. Kamiński, J. Nejman, W. Jawis, J. Sidorowicz, J. Padkowski i inni. Jest sporo dobrych, zabawnych pomysłów, ale jak słusznie zauważono w programie, niedobory dramaturgiczne musicalu muszą być zrównoważone masą zabawnych, zaskakujących pomysłów, nawet absurdalnych, nawet trochę zwariowanych (a libretto daje ku temu wiele okazji), błyskawicznym tempem, nieustannym „coś się dzieje" na scenie.

Tempo łódzkiego przedstawienia jest zbyt wolne, gagów, humoru sytuacyjnego jest za mało. Zaciążyły chyba nieco operetkowe tradycje tego teatru, piosenki czasem niepotrzebnie przekształcają się w arie, brak musicalowego rytmu zwalnia tempo przedstawienia. Zabrakło gejzerów pomysłów, wiele sytuacji pozostało nie wykorzystanych. Na pomoc inscenizatorom przyszła na premierze prasowej kurtyna, która czyniąc honory domu wystąpiła z własnym dowcipem sytuacyjnym: zacięła się i wystąpiła w roli mini-kurtyny ku ogólnej uciesze widowni.

Myślę, że wiele braków można jeszcze uzupełnić teraz, w trakcie „pełnego rozruchu" przedstawienia, ożywić tempo, wypełnić puste miejsca w akcji. A kiedy już chór nauczy poruszać się bardziej tanecznie, girlsy podnosić nogi w jednym czasie na jedną wysokość i pod jednym kątem, gdy wszyscy wykonawcy będą mieli rytm musicalu we krwi tak, jak mają go już niektórzy, to Cole Porter będzie w Łodzi tak samo popularny jak w Stanach Zjednoczonych.

Nie jest to łatwe, ale miłe wróżkane.

---

* Fantastyczny rejs, komedia muzyczna. Muzyka: Cole Porter; libretto: Guy Bolton i P. G. Wodehouse, wersja polska: A. Marianowicz i J. Minkiewicz; reżyseria: T. Cygler; kierownictwo muzyczne: B. Ambros; choreografia: St. Miszczyk; scenografia: B. Michniewicz. Teatr Muzyczny w Łodzi.

JAMES BLISH

Rozkaz: rzucić bombę!

Pułkownik Gascoin wiedział, że jest jedynym człowiekiem na pokładzie kosmicznego statku-sputnika nr 1, ale mimo to nie czuł się lepiej, co więcej, starał się nie myśleć o swojej samotności.

A teraz kiedy siedział przed pulpitem bombowym, spocony, chociaż klimatyzacja działała bez zarzutu, jeden z jego podwładnych znów przemówił do niego:

— Panie pułkowniku...

Gascoin odwrócił się w fotelu, a sierżant — pułkownik nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska — zasalutował.

— No?...

— Bomba numer jeden przygotowana, sir! Oczekuję dalszych rozkazów.

— Rozkazy? — zamyślił się Gascoin.

Ale żołnierz już odszedł. Prawdę mówiąc Gascoin nawet nie zauważył, kiedy sierżant opuścił kabinę sterowniczą, jednakże jego już tu nie było.

Póki próbował zastanowić się dokąd mógł odejść sierżant, w kabinie dał się słyszeć inny głos, tak monotonny jaki zawsze wydobywa się ze słuchawki radiotelefonu:

— Tu punkt radiolokacyjny. Cel przygotowany.

Jednostajny, bezmyślny pisk: to włączył się synchronizujący łańcuch.

Skąd tu ludzie? W radiolokacji nikogo nie ma. W kabinie luku bombowego też nikogo nie ma. W ogóle na pokładzie statku kosmicznego nr 1 nie było nikogo oprócz Gascoina. Nikogo od tego czasu, kiedy przejął dyżur po Greenelu, który jako pierwszy latał na tej kosmicznej stacji.

— Kto to był ten sierżant? Nazywał się... nazywał się...

Stukot dalekopisu przerwał mu to rozmyślanie. Dudniło jak szybkostrzelna armata w metalowym hangarze. Gascoin wstał i podpłynął do aparatu ślizgając się po kabinie z lekkością człowieka, dla którego stan nieważkości stał się czymś prawie zupełnie naturalnym. Ale nim dobrnął do dalekopisu — aparat zamilkł i początkowo pułkownikowi wydawało się, że taśma jest pusta. Gascoin wytarł pot z czoła, który mu zalewał oczy, i wtedy odczytał:

MNWUSXC LKP IGFDS PUTR
AOIU EUIO KRALCM

Przy pomocy kodu mógł rozszyfrować tekst.

BOMBA 1 WASZYNGTON
17.00 GODZ.

Oto dlaczego przygotowywał bombę! Znaczy to, że powinien być jakiś wcześniejszy rozkaz dotyczący przygotowania. Zaczął odkręcać taśmę dalekopisu, ale była pusta.

— Panie pułkowniku...

Gascoin odwrócił się i zobaczył sierżanta.

— Jak wy się nazywacie?

— Swenee, sir — odparł sierżant.

Pułkownikowi wydawało się, że nazwisko zabrzmiało jak „Swenee", ale po chwili był to dla niego tylko pusty dźwięk, chociaż tego człowieka już kiedyś widział.

— Bomba numer dwa przygotowana, sir.

Sierżant zasalutował, odwrócił się, zrobił dwa kroki i zniknął mimo że nie wyszedł za drzwi. Po prostu odszedł, skurczył się i już go nie było.

Zupełnie otępiały Gascoin skończył przewijać taśmę. Tu nie było żadnych wątpliwości: oto rozkaz w myśl którego należało zbombardować stolicę swojej ojczyzny o godzinie 17.00.

Zmęczone palce były jak z gumy, mimo to Gascoin przyciskał nimi klawisze dalekopisu:

PRZYSLIJCIE POMOC POWAŻNY POWTARZAM POWAŻNY STAN PERSONELU STOP NIE WIEM JAK DŁUGO BĘDĘ MÓGŁ SIĘ UTRZYMAĆ STOP SPIESZCIE SIĘ GASCOIN STATEK KOSMICZNY JEDEN STOP.

Za jego plecami rytmicznie piszczał generator połączony z urządzeniem zwalniającym bomby.

— Kabina radiolokacyjna. Cel odnaleziony.

Gascoin nie odwrócił się. Siedział przed pulpitem bombowym cały pokryty potem. Ale gdzieś daleko w głębi jego świadomości coś krzyczało w nim: „Stój, stój, stój!".

Depeszę od Gascoina zaniosłem natychmiast do Joan Adamar, której podlegał dział kosmiczny.

— Hm — mruknęła Joan. — „Poważny stan personelu?" Co on chce przez to powiedzieć? Na tej kosmicznej stacji nie ma żadnego personelu.

— Jestem pewien, że Gascoin zwariował będąc ciągle pod wrażeniem wielkiej odpowiedzialności. Takie niebezpieczeństwo zawsze jest możliwe w przypadku kiedy się posyła jednego człowieka.

Podczas gdy ja zastanawiałem się jak rozwiązać ten problem, Joan zadzwoniła do sztabu lotnictwa.

— No i co? — spytałem ją, gdy odłożyła słuchawkę.

— Martwią się o niego. Przez jakieś niedopatrzenie Gascoin o jeden miesiąc dłużej sam znajdował się na stacji. W ostatnim tygodniu przysyłał niezbyt zrozumiałe raporty. Dowódca odgrażał się, że porządnie mu zmyje głowę.

— To śmieszne! Wydaje mi się, że to raczej on poleci ze swojego stanowiska. Joan, sytuacja jest poważna. Ktoś powinien skoczyć na górę. Powiadom Gascoina, że pomoc jest już w drodze. Kto poleci?

— Sądzę, że ty doskonale sobie z nim poradzisz.

Nie pamiętam dokładnie ...o czym myślałem i czego oczekiwałem, kiedy moja rakieta zbliżała się do kosmicznego statku nr I. Postanowiłem, że polecę, sam, bo jeśli psychoza Gascoina osiągnęła już poważne rozmiary, wiedziałem, że pułkownik w takim przypadku będzie starał się przeszkodzić wylądowaniu większej grupy ludzi. A jednemu człowiekowi łatwiej będzie się do niego dostać.

W kabinie sterowniczej było ciemno i dlatego początkowo nie dostrzegłem Gascoina. Tylko w pobliżu iluminatorów przestrzeń była zalana jasnym słonecznym światłem.

Cichy dźwięk przypominający chichot pomógł mi zorientować się gdzie jest Gascoin. Był zwrócony plecami do mnie, pochylony nad pulpitem bombowym. Ale dlaczego on nie słyszał kiedy wchodziłem?

— Pułkowniku Gascoin! — zawołałem. Nie było odpowiedzi. Przesunąłem się bliżej. Do piero teraz mnie dostrzegł.

— Nie zbliżać się do mnie! — krzyknął gardłowym głosem. — Mam ważne zadanie. Przygotowuję bombę. Proszę mi nie przeszkadzać!

— Chciałbym z panem porozmawiać.

— Jeszcze jeden — powiedział Gascoin, ale się nie poruszył. — Jak widzę, wy bardzo chętnie byście rzucali bomby, nawet mi nie meldując, ale kim ty jesteś, u diabła?

— Nazywam się Harris. Przyleciałem z Ziemi, bo pan prosił o pomoc.

— To nie ma żadnego znaczenia. Niech mi pan udowodni, że pan naprawdę istnieje, wtedy uwierzę. Dlaczego pan jeszcze nie znika?

— Oto mój dowód.

Gascoin wziął do ręki dokument w plastikowej oprawce, a potem zdjął nie istniejące okulary i zaczął je przecierać.

— Ciemno tu — wyjaśnił. — Szkła mi się pocą. Hm, rzeczywiście, pan istnieje naprawdę. O co chodzi?

Położył rękę na pulpicie bombowym. Taśma z jednej szpuli zaczęła nawijać się na drugą.

— Niech pan zatrzyma aparat. Nie ma żadnego powodu aby bombardować Ziemię.

— Jest. Można ich znaleźć pod dostatkiem. Oprócz tego otrzymałem rozkaz. Może pan zobaczyć — warknął Gascoin.

Pochyliłem się nad dalekopisem. Taśma była pusta.

— Kiedy nadszedł ten rozkaz?

— Dziś rano. Nie pamiętam dokładnie. Swenee! — ryknął nagle tak głośno, aż taśma pękła w moich rękach. — O której nadszedł rozkaz zrzucić bombę?

Nie było odpowiedzi. Mimo to Gascoin od razu wymruczał:

— No, sam pan słyszał.

— Niczego nie słyszałem, niech pan odejdzie od pulpitu!

— Nie, mister! Taśma będzie się przesuwała.

— Jaki pan ma cel?

— Waszyngton — powiedział Gascoin i przesunął dłonią po swojej twarzy. Widocznie już zdążył zapomnieć o wyimaginowanych okularach.

— Pan tam mieszka?

— Oczywiście — potwierdził Gascoin. — Dobre, co?

Taśma na pulpicie bombowym przesuwała się naprzód. Gascoin trzymając się prosto płynął wolno przez kabinę i zatrzymał się przed iluminatorem.

— Znowu zapoczął się okulary — powiedział. Wykonał ruch zdejmujący „szkła" i starannie wytarł powietrze. Wykorzystałem ten moment i zatrzymałem taśmę.

— Porozmawiajmy chwilę, pułkowniku.

Gascoin uśmiechnął się chytrze.

— Dobrze, ale wpierw pan uruchomi taśmę.

— Niech pan sam to zrobi. Nie mam ochoty brać na siebie odpowiedzialności za to co się stanie.

— Rozkaz jest rozkazem — drewnianym głosem wymruczał pułkownik i znów uruchomił aparat. — O czym pan chce ze mną rozmawiać?

— Czy zabił pan kogoś kiedykolwiek?

— Tak — odpowiedział szybko. — Mój samolot wyrżnął w dom. Zginęła cała rodzina. A ja ocalałem, oparzyłem sobie tylko nogę. Po kilku tygodniach rana się zagoiła. Ale noga nie była już tak sprawna, jak dawniej i dlatego jestem tutaj na górze.

— To smutne!

Zatrząsł się chichocząc.

— A teraz niech pan popatrzy na mnie — powiedział. Niebawem rozwalę całą swoją rodzinkę. A także miliony innych ludzi. Może nawet wszystkich, cały świat.

Interesowało mnie tylko, co znaczy to słowo „niebawem".

— Co złego zrobili panu ci ludzie?

— Nic. Do diabła, nic mi nie zrobili. I ja się nie skarżę. — Umilkł i oblizał usta. — Dawniej wszystko było inaczej. Wtedy nie było tak nudno. Wtedy nawet gazety podawały prawdziwe informacje. A teraz? Wszystko jest przeżute, obrane. Nie ma wyboru. Oto w czym tkwi nieszczęście.

— Jakie nieszczęście?

— Z wiadomościami. Ciągle są złe. Przyczyn jest wiele: mleko sprzedają pasteryzowane, chleb pokrojony na kromki, samochody same sobą kierują. Czy palił pan kiedykolwiek sam w piecu?

— Ja?

— Nie? Tak też myślałem. Ludzie już dawno od tego się odzwyczaili.

Taśma w dalszym ciągu się przesuwała. Gdzieś pode mną usłyszałem daleki zgrzyt, jakby coś ciężkiego przetoczyło się po szynach, jakby luk otworzył się pode mną.

— Dlaczego pan zamierza coś zrobić z Ziemią? — spytałem powoli.

— Nie mam z tym nic wspólnego. To rozkaz.

— Pan sam sobie wymyślił ten rozkaz!

— Nie wiem o czym pan mówi. Dlaczego pan sobie jeszcze nie poszedł do diabła?

— Ja nie odejdę i pan o tym doskonale wie. Podczas awarii samolotu pan zabił całą rodzinę. Jak oni się nazywali?

— Nie pamiętam dokładnie. Zdaje się, że Swenee, jakoś tak.

Gascoinowi zaczęły drżeć wargi.

— Pan pamięta, pan dokładnie wszystko pamięta!

— Do diabła, wynoś się! — krzyknął. — Nikt mi nie przeszkodzi. Nikt! — Gascoin położył rękę na głowni pistoletu.

— Pańskie bomby są martwe.

Gascoin zaśmiał się ochryple.

— Martwe? Niebawem się przekonamy.

Oparłszy rękę na pistolecie patrzył obojętnie na biegnącą taśmę.

— Bomby są martwe, martwe — powtarzałem, chcąc go zmusić by odsunął się od pulpitu i poszedł sprawdzić. Wystarczy to włączyć licznik Geigera, który był w kabinie obok.

Ale on stał, a taśma nieubłaganie przesuwała się do przodu. Dlatego nie miałem innego wyboru. Włożyłem rękę do kieszeni w której był pistolet...

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

Lewym okiem

PAN NACZELNIK MA JĘZYK!

Znalazłem niedawno w rupieciarni kalendarz Gebethnera i Wolffa na rok 1911. Jest to gruba księga, pełna brodatych i wąsatych postaci, reklamy herbaty „Sibunion", koniaków Szustowa, korespondencji z wypraw podróżniczych w dzikie Gwineje i Tybety, a także informacji o świętach, związanych z wydarzeniami w rodzinie carskiej. Najbardziej charakterystyczne wydały mi się obwieszczenia urzędowe. Zaczynały się zawsze tak: „Jego Imperatorska Wysokość Cesarz... (tu wszystkie jego tytuły) najmiłościwiej rozkazać raczył..." — i dopiero po dwunastu linijkach takich reweransów właściwa treść. Że na przykład rozkazać raczył przenieść Starszego Radcę (tuzin tytułów) na stanowisko (drugi tuzin tytułów).

Ileż niepotrzebnych słów dla dogodzenia protokółowi, dyktowanemu zwyczajną — czy raczej nadzwyczajną — pychą „pomazańca bożego", ile straty czasu, papieru, miejsca, ile czujnej uwagi cenzorów i nadcenzorów, żeby w literce jakiejś nie uchybić!

Posłuchajmy jednak rozmowy lojalnego, a jeszcze nie skumplowanego z dyrektorem urzędnika z kategorii, powiedzmy, kierownika działu w instytucji socjalistycznej. Referenci jak wiadomo mniej boją się dyrektora, niż kierownicy działów.

— „Panie dyrektorze, czy pan dyrektor nie uważa, że to co pan dyrektor był łaskaw powiedzieć wczoraj, to, panie dyrektorze może lepiej nie nadawać biegu, żeby panu dyrektorowi, panie dyrektorze, nie powiedzieli, że pan dyrektor tak jak pan dyrektor mówił tego, panie dyrektorze, nie podpisał...".

Posłuchajmy rozmowy przy biesiadnym stole w ogródku Tivoli: „Panie prezesie, ja panu prezesowi mówię, jak pan prezes wtedy panie prezesie wstał i powiedział, to od razu pomyślałem, że pan prezes, panie prezesie, jak już powię, to nikt by tak, panie prezesie, jak pan prezes nie powiedział...".

Wtrącanie co drugie słowo uniżonej apostrofy, w formie choćby tylko tytułu służbowego, oczywiście — nawet tego najsłuszniej przynależnego, graniczy w mnóstwie wypadków z obsesją, jest głupim wazeliniarstwem, bizantynizmem, gogolowską zatabaczoną prowincją. Słyszę to co krok, w moim najbliższym otoczeniu, na konferencjach, wszędzie. Czyż nie ładniej i prościej, a równie grzecznie, powiedzieć po prostu: „Panie dyrektorze, co pan myśli o tym... zechce pan podpisać..." itd. Bez tego „Dyrektora"! Wystarczy raz na trzydzieści zdań! Co się bowiem dzieje, kiedy rozmowa toczy się pomiędzy np. dyrektorem zjednoczenia, a dyrektorem generalnym resortu! Trzeba z wielkim wysiłkiem wsłuchać się w taki dyskurs, żeby usłyszeć coś jeszcze oprócz słów „Towarzyszu Generalny Dyrektorze", deklinowanych przez wszystkie przypadki na wszelki wypadek.

Przy okazji pozwólcie: nie znoszę ludzi mówiących dobitnie i głośno, zawsze i wszędzie, w każdym miejscu publicznym. Rozmawia/ taki ze mną, a wszyscy muszą słyszeć. Skręcam się ze wstydu. To nikogo nic nie obchodzi! Rozmawiajcie, kochani bliźni, zamiast przemawiać! To nic, że to nie są ani sekrety, ani niekoniecznie sprawy intymne. Nie ma książki, ani sztuki, ani nawet polskiego filmu, w których dialogi byłyby w stu procentach wierną kopią prawdziwych, ludzkich rozmów. Takie dialogi byłyby w książce, w teatrze i w filmie absolutnie, nie do zniesienia głupie. Toczona głośno rozmowa jest z nielicznymi wyjątkami dla postronnych osób nie do zniesienia, głupia, a jej uczestnicy śmieszni. Jeśli ktoś w pełnym tramwaju mówi do mnie na cały głos: „Pan naczelnik zawsze sobie da radę, bo pan naczelnik ma język", jeśli mówi to w dobrej myśli, ale za głośno, to stawiam tysiąc przeciw jednemu, że:

1 — tytuł naczelnika wprawdzie zgadza się z nomenklaturą, ale przez wszystkich postronnych przyjęty jest jako złośliwa przygrywka,

2 — co od razu ośmiesza mnie w oczach całego tramwaju i wytwarza wokół mnie wyraźną aurę antypatii,

3 — zwłaszcza że odzywka, pomyślana jako komplement, zatrąca całkiem pieskim pochlebstwem i cały tramwaj myśli o mnie jak o kacyku, żądnym takich pochlebstw,

4 — młodzież zaś, inteligentna ponad wiek, ma z miejsca okazję do łatwych dowcipów o takim, co ma język, i w ogóle o języku jako takim i w ogóle o naczelnikach i w ogóle o kretyńskim stanie urzędniczym.

Odrobina dyskrecji, proszę państwa! Odrobina godności własnej i zdrowego rozsądku! Mniej kompleksów, mniej pychy, mniej pokory, więcej zwyczajnej równowagi ducha, a w ostatecznej konsekwencji: więcej poszanowania dla mowy polskiej i dla dobrych ludzkich obyczajów.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1797. VI. 1967 r. O-10.